

S T A N I S Ł A W
G R O C H O W I A K

REŻYSERIA I ADAPTACJA: KARINA PIWOWARSKA

SCENOGRAFIA: KATARZYNA PACIOREK

G o r d a



PROGRAM

TEATR W LESZNI

PRAPREMIERA POLSKA: 29.12.2008

Spektakl zrealizowany został w ramach programu „Stanisław Grochowiak – powrót zapomnianego klasyka współczesnej

literatury”, finansowanego przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

ORANŻERIA



Pierwsza
po siedemdziesięciu latach
premiera
zawodowego teatru
w Lesznie

Spektakl zrealizowany został w ramach programu:
„Stanisław Grochowiak – powrót zapomnianego klasyka współczesnej literatury”,
finansowanego przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

STANISŁAW
GROCHOWIAK

G o r d a

A D A P T A C J A I R E Z Y S E R I A

KARINA PIWOWARSKA

S C E N O G R A F I A

KATARZYNA PACIOREK

M U Z Y K A

ALINK SARIT KONWIŃSKA

PIOTR STEPEK

MACIEJ CIEŚLEWICZ

Z D J Ę C I A F I L M O W E

PRZEMYSŁAW WAWRZYŃIAK

O B S A D A

GRZEGORZ FALKOWSKI
Gorda

MICHAŁ KALETA
Czubek

BARBARA PROKOPOWICZ
Dziewczyzna

PIOTR WAWER
Chłopak

IRENA WÓJCIK
Kobieta



STANISŁAW GROCHOWIAK (1934-1976)

Introdukcja

Nie cały minę Choć zostanie owo
Kochanie ziemi w bajorku i w oście
I przeświadczenie że śledź bywa w poście
Zarówno piękny jak pod jesień owoc

Bo kochać umiem kobietę i z rana
Gdy leży cicha z odklejoną rzęsą
A jak jest moja to jest całowana
W puder i w słońce W zachwyty i w mięso

Tak mnie ugadzam bo nie tylko z niebem
Ale z odbiciem nieba w całej nafcie
A teraz weźcie teraz wy potrafcie
Tyle zachwyty połączyć z pogrzebem

Słabi powiedzą tyle że to smutno
Mężni że słabych zatrzymują w drodze
A ja zbierałem tylko te owoce
Co – że są krwawe – zbiera się przez płótno

Stanisław Grochowiak

Z tomu *Zaproszenie do miłości*

Janusz Drzewucki Stanisław Grochowiak...

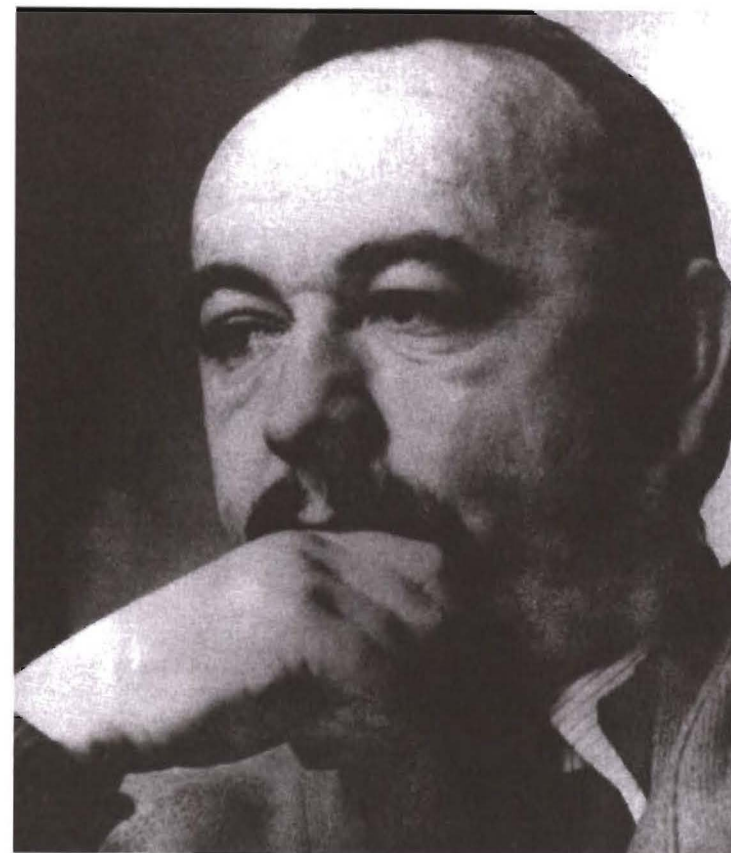
Żył krótko, ale intensywnie.

Ciężko pracował. Pisał dużo i dobrze.

Każdy z jego zbiorów wierszy
był rozchwytywany przez czytelników
i szeroko komentowany
w prasie literackiej.

Dzisiaj wydaje się poetą
zapomnianym. Najwyższy czas
zacząć go czytać na nowo.

W jego poezji możemy przejrzeć się
niczym w lustrze.



Gdyby żył, w tym roku świętowałby jubileusz 70-lecia. Gdyby żył... Zmarł w wieku zaledwie 42 lat. Dzisiaj wydaje się poetą zapomnianym, dodajmy – niesłusznie zapomnianym. Podobnie jak Miron Białoszewski, Jerzy Harasymowicz czy Tadeusz Nowak, o Bogdanie Ostromeckim, Januszu St. Pasterbie i Tadeuszu Śliwiaku już nie mówiąc. A przecież był – a skoro był, to jednak jest! – jednym z najoryginalniejszych i najwybitniejszych poetów polskich drugiej połowy XX wieku.

Urodził się 24 stycznia 1934 roku w Lesznie. Okupację spędził w Warszawie. Po wojnie studiował filologię polską na uniwersytetach w Poznaniu i we Wrocławiu. W roku 1955 przeprowadził się do Warszawy, gdzie podjął pracę redaktora w Instytucie Wydawniczym „Pax”. Rok wcześniej jego wiersze ukazały się w antologii, której za tytuł posłużył cytat z Jerzego Lieberta „...każdej chwili wybierać muszę”, obok utworów m.in. Zbigniewa Herberta, Anki Kowalskiej, Jacka Łukasiewicza, Tadeusza Chrzanowskiego. Debiut miał zatem wymarzony. Zwłaszcza że w przełomowym dla powojennych dziejów Polski roku 1956 opublikował pierwszy zbiór wierszy *Ballada rycerska* i pierwszą powieść *Plebania z magnoliami*. Rychło został zaliczony w poczet czołowych przedstawicieli pokolenia Współczesności – mianem tym historycy określają generację pisarzy, która pojawiła się na scenie literackiej po Październiku. Należeli do niej np. Marek Hłasko, Marek Nowakowski, Władysław Lech Terlecki, Ireneusz Iredyński, Witold Dąbrowski czy Ernest Bryll.

Grochowiak był redaktorem naczelnym pisma „Współczesność”, potem członkiem zespołów redakcyjnych „Nowej Kultury” i „Kultury”, „Poezji” i „Miesięcznika Literackiego”. Na przełomie lat 60. i 70. współpracował z TVP, jako współtwórca dwóch cyklicznych programów *Strofy poezji świata* oraz *Nowa poezja polska*, w których przedstawiono twórczość m.in. Włodzimierza Maja-

kowskiego i Siergieja Jesienina, Wisławy Szymborskiej i Zbigniewa Herberta.

Żył krótko, ale intensywnie. Ciężko pracował. Pisał dużo i dobrze. Każdy z jego zbiorów wierszy był rozchwytywany przez czytelników i szeroko komentowany w prasie literackiej: *Menuet z pogrzebaczem* (1958), *Rozbieranie do snu* (1959), *Agresty* (1963), *Kanon* (1965), *Nie było lata* (1969), *Polowanie na cietrzewie* (1972), *Bilard* (1975) oraz wydany pośmiertnie zbiór *Haiku-images* (1978). Uprawiał z powodzeniem prozę. Wydał tom opowiadań *Lamentnice* (1958), powieści *Trismus* (1963) i *Karabiny* (1965). Jego żywiołem był również teatr. Sztuki takie jak *Szachy* (1961), *Partita na instrument drewniany* (1962), *Król IV* (1963), *Chłopcy* (1964), *Lęki poranne* (1972), *Okapi* (1974) wystawiane były przez najlepsze polskie teatry. W dorobku poety znaleźć można również zbiory wierszy dla dzieci (*To było gdzieś*), słuchowiska radiowe (*Hrabina Sowa Bosanoga*, *Kaprysy Łazarza*) i scenariusze filmów telewizyjnych (*Przeciwko bogom*, *Czerwone i złote*). Któż dzisiaj pamięta, że już w 1958 roku był Grochowiak współautorem scenariusza filmu *Kalosze szczęścia*, obok – uwaga! – Antoniego Bohdziewicza, Janusza Majewskiego oraz Andrzeja Szczepkowskiego.

O jego twórczości z najwyższym uznaniem wypowiadali się krytycy tej miary, co Kazimierz Wyka, Jerzy Kwiatkowski, Jan Błoński, Tomasz Burek, Jacek Łukasiewicz, Piotr Kuncewicz, Jan Pieszczachowicz.

W ostatnich latach wielokrotnie pisał o nim jeden z najciekawszych krytyków młodego pokolenia – Piotr Łuszczykiewicz, autor poświęconej poezji Grochowiaka książki *Książkę erotyku*.

Ano właśnie, Grochowiak był mistrzem poezji miłosnej, chociaż oczywiście nie tylko. Był przecież najpierw tym, który radykalnie zbuntował się przeciwko artystycznym konwencjom i konwenansom obyczajowym, dzięki czemu podbił dla poezji tereny uznawane dotąd za zdecydowanie niepoetyckie, poniekąd banalne, brzydkie, ubogie, kalekie. To do Tadeusza Różewicza i Stanisława Grochowiaka skierował Julian Przyboś w roku 1962 słynną *Odę do turpistów*. Sam Grochowiak nie godził się na to, żeby jego antyestetyczną postawę określać w kategoriach turpizmu, wolał dużo celniejszy termin – mizerabilizm. Z czasem coraz częściej odwoływał się także do tradycji wielkiej poezji polskiej: korzystał z poetyki zgoła barokowych konceptów, w trzech cyklach sonetów „białych”, „brązowych” i „szarych” w zbiorze *Agresty* odnowił formę sonetu, natomiast arcydziełny *Rok polski*, jego ostatnie wielkie osiągnięcie twórcze, to już manifestacja klasycyzmu.

Zmarł 2 września 1976 roku w Warszawie. Najwyższy czas zacząć go czytać na nowo. W jego poezji możemy przejrzeć się niczym w lustrze.

Janusz Drzewucki



Moi drodzy chłopcy

Tekst został opublikowany w programie teatralnym sztuki *Chłopcy*, wystawianej w Teatrze Polskim w 1964 roku

Przygoda moja z teatrem, która – jak mniemam – zaledwie się rozpoczęła, rzeczywiście wyniknęła z chęci zabawy i swoistej literackiej awantury. Jeżeli zdradzałem poezję, to wyłącznie dla prozy, a potem – publicystyki, nigdy dla dramatu. Wyznam tu rzecz wstydliwą: przez długie lata młodości pisarskiej teatr mnie najzwyczajniej śmieszył. Owszem, bywałem w teatrze, był to przecież obowiązek człowieka kulturalnego, ale już w tych dwóch sformułowaniach: „obowiązek” i „człowiek kulturalny”, odczuwałem jakiś łut ironii, jakąś przewrotną śmieszność, która nie opuszczała mnie nawet w czasie oglądania tragedii. Bo też proszę przyznać, ileż to razy chodzimy do teatru nie po to, aby uczestniczyć w tym, co się dzieje na scenie, ale dla niezwykle

ważnych wydarzeń towarzyskich przed podniesieniem kurtyny, w antraktach, w foyer i bufecie. Pompatyczny nastrój „świętyni sztuki”, rewia strojów i toalet w kularach, wzajemne wymądrzanie się przy butelce oranżady w trakcie przedstawienia – wszystko to: sztuczne i wymizdrzone, zdawało się krańcowo odbiegać od moich surowych, zapewne zbyt kostycznych, wyobrażeń o współuczestniczeniu w akcie powstawania dzieła sztuki, jakim jest każdy kolejny spektakl teatralny.

Piszę tutaj o kalekich zwyczajach widowni, ale czyż te zwyczaje – na zasadzie osobliwego szantażu – nie przenikały również na scenę, ba, nawet poza mury teatru: do zacisznych gabinetów wziętych dramaturgów? Kto zna środowisko aktorskie nie tylko z teatral-



Dzisiaj bawi mnie ten paradoks: zawzięty wróg teatru, byłem już wtedy jego niewolnikiem; w końcu gdzieś – w najbardziej skrytych cieśniach ducha – fascynowała mnie ta rzekomo okropna atmosfera, ten urojony blichtr, nawet ta pozornie obojętna widownia.

nego afisza, ten wie coś niecoś o przedziwnych zaiste dewiacjach psychicznych, o wynaturzeniach ambicji aż do granic hysterii, o tragicznych lękach, których smutnym epilogiem jest samośmieszenie. Kto miał zaszczyt poznać wziętych dramaturgów, ten wie coś niecoś o zewnętrznej pysze połączonej z wewnętrzną uległością, oportunistycznym wobec mód literackich, ze skłonnością do naśladownictwa, niespotykaną w tym stopniu na żadnym innym terenie literatury.

To wszystko – widziane na pewno zbyt drastycznie, co jest wadą pewnej siebie młodości, i zbyt jednostronnie, co jest cechą ludzi o naturze apodyktycznej (niestety) – to wszystko odstręczyło mnie od teatru jako instytucji, a równocześnie korciło do literackiej parodii. Tak, tak, dzisiaj bawi mnie ten paradoks: zawzięty wróg teatru, byłem już wtedy jego niewolnikiem; w końcu gdzieś – w najbardziej skrytych cieśniach ducha – fascynowała mnie ta rzekomo okropna atmosfera, ten urojony blichtr, nawet ta po-

zornie obojętna widownia. Tak chyba w ogóle bywa z pewną kategorią namiętnych miłości, że – czy to w obawie przed zatraceniem czy też zrzadzeniem tajemniczych praw wstydu – rozpoczynamy swą miłosną przygodę od sarkazmu, szyderstwa, a niekiedy brutalności.

Ja zacząłem od szyderstwa. Pierwszy mój dramat (*Szachy*) począł się z błazeńskiego spisu „dramatis personae”. A więc pomyślałem sobie, że w p o w a ż n e j (he, he, he) sztuce powinien występować Hrabia, obok niego Hrabina-Żona, dalej Hrabina-Rezydentka, na dokładkę Baron i Lokaj. Rozsądną rzeczą wydawało się skonstruować owo towarzystwo z jakimś baśniowym Chłopem-Drwalem, a całość podeprzeć anonimowo pompatyczną postacią Człowieka. Tak uzbrojony – chichocząc w duchu – przystąpiłem do nakreślenia scenografii (a więc pałac, za oknami zima) i do sformułowania pierwszych kwestii. I tutaj przechytrzyłem sam siebie – albo żeby powiedzieć lepiej: zostałem przechytrzony przez geniusza teatru, który wynika ze zbyt potężnych pokładów tradycji, aby dać się łatwo ośmieszyć. Ze sceny na scenę – coraz bardziej zdumiony i oczarowany – pisałem dramaty s e r i o, który co prawda zachował fakturę groteski, ale ta groteska nie była już wymierzona w teatr: to teatr obnażał groteskowe oblicze historii.

W niespełna rok później – nienagannie ubrany w ciemny garnitur – kłaniam się na proscenium Teatru Powszechnego pogar-

dzanej publiczności, która była teraz m o j ą (a więc jakże mądrą i wrażliwą) publicznością. Poniosłem klęskę, ale z jaką ochotą, z jakim serdecznym przyzwoleniem!

Dzisiaj – jako autor kilku sztuk, kilkunastu słuchowisk i widowisk telewizyjnych – nie ukrywam mojej gorącej miłości do teatru, a przecież... A przecież nadal lubię sobie podworować z jego niektórymi chwytów, z jego – sympatycznej w końcu pretensjonalności, z jego – wydawałoby się – niewzruszonych reguł. Z rzeczy mniej ważnych: dbam nadal skrupulatnie, aby tylko j e d e n antrakt umożliwiał ucieczkę widowni do kularów i bufetu. Z rzeczy istotnych: staram się, aby dramaturgiczna materia teatralnego widowiska darzyła odbiorcę taką różnorodnością nastroju, w której wzniosłość nie zmarmurzy jego powiek, a zbyt natrętny dowcip nie rozluźni nazbyt umysłu.

Tragiczność i śmieszność zarazem: tragiczność odnajdująca ulgę w łagodnym uśmiechu – śmieszność, za którą stoją współczujące anioły smutku i goryczy. Oczywiście, są to zaledwie usiłowania, droga wiodąca do spełnień jest jeszcze daleka, któż to wie – czy właściwa. Przecież na tej drodze stoją „chłopcy”, zasłuchani w swój ludzki ból z pogodnym i dumnym czołem.

Rzecz sama wyniknęła z dwóch pobudek, wszakże nawzajem się przenikających i – jak ośmielał się sądzić – ciągnących ku sobie w sposób szczęśliwie naturalny. Pierwszym bodźcem do napisania *Chłopców*

Dbam nadal skrupulatnie, aby tylko j e d e n antrakt umożliwiał ucieczkę widowni do kularów i bufetu. Z rzeczy istotnych: staram się, aby dramaturgiczna materia teatralnego widowiska darzyła odbiorcę taką różnorodnością nastroju, w której wzniosłość nie zmarmurzy jego powiek, a zbyt natrętny dowcip nie rozluźni nazbyt umysłu.

było rzeczywiste wydarzenie, jakie zaobserwowałem w jednym z dolnośląskich domów dla starców. Bohaterowie tej historii prawdopodobnie już nie żyją, jej główny bohater – którego portretem jest Kalmita – na pewno. Napisałem: „wydarzenie”, ale przecież nie chodzi tu o ciąg jakichś szczególnie interesujących perypetii. Idzie raczej o w y d a r z e n i e p s y c h i c z n e, m o r a l n e, jakim było umieszczenie zniedołężniatego męża przez znacznie młodszą żonę w przytułku.

I znowu nie najbardziej uderzający jest czyn żony, jakkolwiek nie dało się tu uniknąć pewnych oskarżeń pod adresem tych cech kobiecych, w których rozczarowanie wiedzie do nienawiści i okrucieństwa. Zafrapowała mnie w historii rzeczywistego Kalmita przede wszystkim j e g o postawa: pełna godności i mądrej autoironii wobec pasma wciąż ponawianych upokorzeń. Nie boję się tutaj użyć słowa: bohaterstwo. Tak,

Powziąwszy więc zamiar napisania sztuki
całkowicie niemodnej, tym samym
postanowiłem stworzyć dramat a k t o r s k i,
dramat, w którym są r o l e.

Chłopcy są próbą dramatu heroicznego, przy czym chodzi o heroiczną najbardziej wyczerpującą i niewdzięczną, tę, w której nie ma już nadziei, a pozostał tylko – jakże głęboko ludzki – upór zachowania twarzy. Tę twarz – przeoraną upływem czasu, znękaną chorobami – trzeba przeciwstawić małoduszności najbliższej osoby, ohydnie instytucjonalnej filantropii, a wreszcie widmu nieubłagalnie zbliżającej się śmierci. Kalmita i jego przyjaciele zachowują twarz, a więc godność, poprzez ów ozdrowieńczy powiew młodości, który unieważnia starość i powoduje, że mężczyźni – choćby nie wiem jakie brzemie wieku ciążyło na ich barkach – tak często pozostają aż do końca chłopcami. Sztuka, którą przedstawiam, jest więc w swojej dominującej strukturze ś m i e s z n a. Ale podkreślam to z całą mocą, że ani przez chwilę jej komizm nie ma nic wspólnego z ośmieszeniem bohaterów, z przedrzeźnianiem lub wyszydzaniem ich biologicznej i filozoficznej sytuacji. Wręcz przeciwnie: to właśnie oni szydzą z okrucieństwa losu, to właśnie oni – chociaż już bezlitośnie skazani – ocalają piękno człowieczej niezależności.

Drugim motywem narodzin sztuki była przekora: cień tej przekory, o której tak obszernie rozpisałem się na wstępie. Oto uderzyło mnie, że w modnym dzisiaj dramacie, w owej twórczości „wziętych dramaturgów” coraz bardziej zanika osobowość bohaterów, a co za tym idzie: kreacyjne szanse dla aktorów. Aktor, występujący we współczesnej sztuce, coraz bardziej staje się kukłą wygłaszającą kwestię, coraz mniej człowiekiem żywym. Powziąwszy więc zamiar napisania sztuki całkowicie niemodnej, tym samym postanowiłem stworzyć dramat a k t o r s k i, dramat, w którym są r o l e. Jak dalece mi się to udało, doprawdy nie wiem; pragnę jedynie zasygnalizować kierunek moich wysiłków i konsekwentnie jeszcze raz podkreślić, jak szczerze zmienił się mój stosunek do teatru: tego teatru z obrotową sceną, purpurową kurtyną, wyściełanymi fotelami i rewią toalet w antrakcie.

Na zakończenie proszę pozwolić mi na akcent zgoła osobisty. Jeżeli wolno mi dedykować nie sztukę, ale już jej sceniczną realizację, to przedstawienie w Teatrze Polskim pragnę poświęcić cieniem Stanisława Żyzkowskiego (Es-Zeta), współpracownika „Kolców”, poety i satyryka, który umarł w przytułku.

Stanisław Grochowiak

G o r d a



I

Tomasz zapatrzył się na tańczących. Mrużył przy tym oczy i lekko się uśmiechał. Nie zazdrościł im – był szczęśliwy! I dlatego tak zupełnie beztrosko słuchał przygarbionego nad stołem Czubka, który mówiąc kaszłał, stękał, uderzał łyżeczką w szkło, chleptał kawę, znowu się garbił, kaszłał i smarkał. Orkiestra grała «Moulin Rouge», błądy czarny śpiewał po francusku, a ładne dziewczyny niosły na szerokich karkach ciężkie włosy związane w ogon, utoczone w warkocz, upięte w kok. Niosły te swoje włosy powoli, powoli: jak najcenniejszy skarb. Zresztą taki był rytm muzyki.

– I ciebie to nigdy nie nachodzi?

– Nigdy – powiedział Tomasz, potem nalał wina do kieliszków, popatrzył pod światło. Płyn był złoty i czysty.

– Nigdy, Czubek. Mam swoją kobietę, jest jeszcze świeża, czuję do niej to, co czuć powinienem.

– No tak. Ty masz kobietę... A co ja mam?

– Co ty masz, Czubek? Też masz kobietę.

– Nie – powiedział Czubek i zgarbił się. – Nigdy nie miałem swojej kobiety. To nie jest moja kobieta.

– Bredzisz! – Tomasz rozgniewał się, ale Czubek obstawał przy swoim:

– Nie, Tomek, mylisz się, Tomek. Jak ja tak uczciwie pomyślę, to ja jej nigdy nie kochałem. Ona nie była pierwsza. Rozumiesz? Kobieta to jest ta pierwsza... No, z tobą co innego. Twoja była pierwsza.

Tomasz popatrzył na skrzypka. Muzyk przygarniał skrzypce miłosnym ruchem, ułożył błądy policzek na pudle jak na czyjejś dłoni albo jak na ukochanych kolanach. Tomasz uśmiechnął się wyrozumiale, znowu podniósł kieliszek do oczu i powiedział:

– A jeżeli nie...?

W wielkie okno kawiarni, przy którym siedzieli, bębnił cicho deszcz. Dobrze było tak siedzieć tutaj, słuchać muzyki, pić wino i rozmawiać z Czubkiem.

– A jeżeli nie...? – powtórzył. Mógł teraz nawet wspominać najdalsze sprawy nie obawiając się bólu. Widział przed sobą powrót do domu, zdjęcie kaloszy w przedpokoj, pocałowanie ciepłej ręki Marty, zagłębienie się w fotelu i grzanie stóp przy gorącym piecu. Widział to wszystko tak wyraźnie i nieuchronnie, że mógł sobie pokpić z Czubka.

– A jeżeli nie...? – powiedział Czubek. – Więc ona nie jest ta pierwsza?

– Nie, nie jest ta pierwsza, Czubek. Ale ja jestem szczęśliwy.

– To dziwne... – Czubek pokiwał głową. – To bardzo dziwne. Kiedy miałeś tę pierwszą?

– Tę pierwszą miałem jeszcze w gimnazjum.

– Ale co, miałeś ją... tak naprawdę? Puściłeś się z nią?

– Raz.

– Cierpiałeś?

– Cierpiałem. Cholernie cierpiałem, Czubek, ale jakoś przeszło.

– To dziwne... – Czubek znowu pokiwał głową. – To bardzo dziwne...

Orkiestra przestała grać, a tańczący rozpełzli się po sali. W nagłą próżnię nad parkietem wtoczył się kłębam dym. Do stolika podszedł kelner o żółtej spoconej twarzy i usunął puste filiżanki od kawy.

Czubek bawił się pudełkiem «Femina», a Tomasz patrzył w deszcz. Duża szyba zaszła wilgocią i w miarę zapadania zmierzchu nabierała nastroju. Bił od deszczu za oknami spokojny i krzepiący smutek. „Jak przyjdę do domu – myślał Tomasz – położę się zaraz do łóżka. Zmuszę też Martę, żeby się położyła. Włoży tę kremową koszulę wyszywaną w ptaki. Bardzo jej ładnie w tej koszuli. Nastawię radio i może trochę poczytamy, a może od razu zaczniemy się całować. Tak. Nie ma się co męczyć z malowaniem. Teraz mam forsę dość, dzisiaj przynoszę jeszcze dziesięć tysięcy, to po co się będę męczył z malowaniem? Zaraz się położę i zmuszę Martę, żeby włożyła tę koszulę wyszywaną w ptaki.” Odwrócił głowę i popatrzył na Czubka, wciąż bawiącego się «Feminą».

– Nalać ci?

– Nalej – zgodził się Czubek, a potem ostro: – Jesteś szczęśliwy? Bujasz mnie i bujasz siebie, i bujasz Martę, i bujasz wszystkich. Bzdura, Tomek. Ty... nie jesteś szczęśliwy! Co to

jest ta twoja Marta? Bogini, co? Jak ty możesz być z nią szczęśliwy, kiedy miałaś inną, która była pierwsza. Masz mnie za osła, Tomek? Mów, cholera, jak mężczyzna do mężczyzny...

– Rzucasz się – powiedział Tomasz – bo sam masz dość.

– Nie, Tomek, ja ciebie znam.

– Nie znasz mnie, Czubek! Wygląda na to, że mnie nie znasz.

Czubek wyciągnął papierosa, zapalił go i wgniół zapałkę w niedopałek jarzący się w popielnicze.

– Ta pierwsza – powiedział cicho – ładna była? Blondyna?

– Blondyna?

Tomasz poprzez ciche brzęczenie alkoholu pod skronią usłyszał wyraźnie dawno, dawno temu czytany na ławce w parku wiersz Rilkego:

*Potem zew ronda i szumi gęstwina,
I cisza chwilę brzmi jak pusty dzwon;
A potem skrzypce (Bóg wie z jakich stron)
Budzą się, mówiąc powoli:*

Blondyna...

– Znasz to? – śmieje się wzruszony. – Znasz ten wiersz, Czubek?

– Jaki wiersz, do cholery?

– No ten, no właśnie:

*A potem skrzypce (Bóg wie z jakich stron)
Budzą się, mówiąc powoli.*

Blondyna...

– Więc blondyna?

– Blondyna, Czubek.

Tak jakby to głupie słowo miało jakiś magiczny sens, poczuli do siebie przyływ serdeczności.

– Kelner! – zawołał Tomasz. – Kelner, wódki! Diabli z tym winem...

Orkiestra znowu zaczęła grać. Grała teraz rzewne tango. To tango nazywało się «Błękitne bolero» i śpiewak zwierzał się do mikrofonu: „Już nikt nie zatańczy jak ty...”

Tomasz spojrział na zegarek.

– Musimy najpóźniej za godzinę splukać ćwiartkę. Pójdzie?

– Pójdzie. Liter by poszedł – powiedział Czubek.

Był starym, wykolejonym malarzem. Zarabiał na plakatach, na ładnych i kulturalnych plakatach, ale nie był ceniony. Swoją klęskę artystyczną chciał odbić w jakiejś zawrotnej przygodzie miłosnej, o której uparcie marzył i gadał. Ale i to mu nie wychodziło. Pił tylko coraz bardziej i coraz bardziej kleił się do Tomasza, który hipnotyzował go szczęściem, jakim cieszył się zarówno w robocie, jak i w ożenku. Teraz miał i Tomasza, i wódkę.

– Lej, Tomek, i opowiadaj o blondynie – powiedział. – Niech wszystko diabli wezmą!

Wypili... Tomasz poczuł, że musi postawić konieczny warunek:

– Ale ja jestem szczęśliwy, Czubek?

– Jesteś szczęśliwy, Tomek. Walaj o blondynie.

– Nie, nie – powiedział Tomasz – tak dobrze nie ma. Jestem szczęśliwy czy nie?

– Jesteś szczęśliwy, naprawdę jesteś szczęśliwy i możesz spokojnie gadać o tej dziewczynie.

– Bo widzisz, ja muszę wiedzieć, czy ja jestem szczęśliwy...

– Coś ty, pijany? – zapytał Czubek z niedowierzaniem.

Ale Tomasz nie był pijany. Po prostu czuł ogarniające go rozrzewnienie.

– Pij! – Tomasz nalał do kieliszków, potem znowu nalał i znowu, i wreszcie odstawił pustą butelkę. – Kelner! Jeszcze jedną!

Kelner przyniósł od razu pół litra w srebrzystym cebrzyku, w którym pływały kawały lodu. Na parkiecie tańczono wprawdzie fokstrotę, potem be-bop, wreszcie kariokę. Skrzypek odrzucił skrzypce, a uwiesił się saksofonu. Tancerze objęli dziewczyny w pasie i przyciskali ich napięte brzuchy.

– No – powiedział Tomasz obcierając zimną butelkę w ręcznik, który kelner położył koło ceberka – no, posłuchaj. Ona miała coś w twarzy... Ty wiesz, jak to jest?

– Wiem – odpowiedział niechętnie Czubek. Palił papierosa za papierosem.

– Ona miała coś takiego w twarzy. Takiego czegoś już nigdy potem nie widziałem u żadnej. U Marty też tego nie ma. Tylko ona miała to coś w twarzy. Ty wiesz, Czubek?

– Wiem – powiedział Czubek i zasłonił kieliszek rozcapierzoną dłonią. – Nie lej.

– Boisz się? – zapytał Tomasz, a równocześnie pomyślał: „Jak wrócę do domu pod gazem, to nic nie szkodzi. Jestem z Martą szczęśliwy i ona mi nie robi awantury. Nic podobnego. Ona nie jest ordynarna. Zresztą jestem z nią szczęśliwy i mogę raz na pewien czas wypić te pół litra”. Do Czubka powiedział:

– O czym to ja mówiłem, Czubek? Mówiłem ci o tej mojej blondynie. Widzisz, ona miała takie cholerne marynarskie ubranko, u dołu były spodnie, u góry bluzeczka, a w środku nic. Taki goły pas. Całowałem jej ciało. Była słona, Czubek.

Tomasz czuł, że zaczyna tracić panowanie nad rękami. Chciało mu się płakać i śpiewać. Spojrzał na sąsiedni stolik i zaśpiewał:

– ..Bo gdy się kogoś ma, to zaraz jest inaczej..”

Siedziała tam dziewczyna, skądś znana Tomaszowi, w otoczeniu skromnie ubranych koleżanek. Była w nich oszczędna elegancja warszawskich sekretarek, maszynistek, drobnych urzędniczek, które z groszowych gałganków potrafią wyczarować szyk. Wszystkie popatrzyły na Tomasa zagryzając w ironicznym uśmiechu wargi. Zdenerwowało go to bardzo.

– Widziałeś, Czubek?

– Pójdziemy do domu, Tomasz.

– Czubek, cholera, ty pij, ty nie jesteś pijany! – Roztrzęsioną ręką nalał, odczekał, aż Czubek wypije, znowu mu nalał i znowu odczekał.

– No?

– Ja jestem... ja jestem cholernie pijany, Tomek – powiedział Czubek i można mu było uwierzyć. Tęcza w jego oczach przyciemniała, stały się maślane i nijakie. Językiem wciąż przesuwając po napęczniałych wargach.

– Lubisz być pijany, Czubek?

– Lubię, ale w jakiejś małej knajpie. Tu to nie. Tu to nie można nawet szklanki rąbnąć, cholera!

– A można – powiedział Tomasz i zgniół w palcach kieliszek. Szkło pokaleczyło mu opuszki palców, z których krew kapiała na serwetę. Tomasz wpatrzył się w gęste plamy na obrusie, a gdzieś, tym razem już bardzo z daleka, powróciło:

*Potem zew ronda i szumi gęstwina,
I cisza chwilę brzmi jak pusty dzwon;
A potem skrzypce (Bóg wie z jakich stron)
Budzą się, mówiąc powoli:
Blondyna...*

Wstał, obciągnął marynarkę, poprawił krawat i powiedział z całą godnością do bełkocącego Czubka:

– Ja jestem szczęśliwy, Czubek. Pamiętaj o tym. Jak nie będziesz o tym pamiętał...

Nie dokończył. Odwrócił się na pięcie i przez zarośla tańczących zaczął się przedzierać w stronę stolika rudej. Myślał: „Ja im pokażę... Ja jeszcze im pokażę...” i rozpychał łokciami pięknowłose dziewczyny. Przy stoliku rudej odepchnął brutalnie chłopca w czarnej koszulce. Tamten zmierzył Tomasa od stóp do głów, ale po namyśle odszedł.

– Ja im pokażę... – powiedział Tomasz do rudej. – Ja jestem szczęśliwy i guzik mnie obchodzi pierwsza miłość, rozumiano?

– Czego się pan czepia? – spytała ruda.

– Ja teraz pójde do domu i zdejmę kalosze w przedpokoju...

Maszynistki wybuchnęły śmiechem, a ruda pociągnęła Tomasa za rękaw.

– Siadaj i nie wygłupiaj się, Gorda.

– Nie nazywam się Gorda – powiedział Tomasz. – Skądżeś to wytrasnęła? A w ogóle to z tobą świń nie pasalem. Ja teraz pójde do domu, zdejmę kalosze i ogrzeję stopy przy piecu. A potem położymy się z Martą do łóżka. Każę jej włożyć tę koszulę w ptaki. Jej jest bardzo dobrze w tej koszuli w ptaki...

– Gorda – zawołała ruda. – Przestań, Gorda, bo skonamy ze śmiechu. Ale żeś się zalał, no, no!

– Nie nazywam się Gorda – powiedział surowo Tomasz. – Czyś ty zwariowała z tym Gordą? Ja wam pokażę!... Jestem szczęśliwy i basta! Zrozumiano?

– No tak, oczywiście, jesteś szczęśliwy, Gorda. Znam twoją żonę i zaraz jutro opowiem, jaki ty jesteś szczęśliwy!

– Nie nazywam się Gorda, ty dziwko! Nie nazywam się Gorda!

– Na pewno nazywasz się Gorda – powiedziała zimno ruda i dodała: – Odejdź! Natychmiast odejdź! Nie podobasz mi się. Jesteś pijany i zarozumiałym cham. Idź precz, śmierdzisz wódką!

Tomasz poczuł się, jakby ktoś uderzył go pięścią między oczy. Zamroczony powłókł się z powrotem do swego stolika. Potrącał go ludzie, którzy tańczyli mambo. Oganiał się od nich, szeroko wymachując rękami. Słyszał śmiech dziewcząt i wyzwiska mężczyzn. Ale myślał: „Wszystko jest proste. Wrócę do Czubka, a on mnie odprowadzi do domu. Jestem szczęśliwy z Martą i ona mi nie zrobi awantury. Na pewno”. Ale Czubka nie było. Więc nalał sobie resztę z butelki, wypił jednym haustem, rozlewając po brodzie, zakorkował flaszkę i powrócił między tańczących. Chodził tak, potrącany i przeklinany, lecz nie wiedział, dokąd idzie. Myślał: „Muszę im coś ważnego powiedzieć... coś bardzo ważnego... Ale czego ja szukam?... No, czego ja właściwie szukam?...” Nie mógł sobie przypomnieć. Na szczęście znowu ujrzał zimną twarz rudej i usłyszał, jak mówiła do chłopca w czarnej koszulce:

– To jest Gorda. On na mnie nalatuje. Wywołaj faceta i daj mu w mordę. Niech wie, że powinien dać spokój dziewczynkom, gdy ma kobietę i dzieci.

Teraz już wiedział. Stał się pośrodku sali, rozgarnął najbliższe pary i zawył:

– Jestem szczęśliwy!

DESZCZ wciąż jeszcze padał, gdy Tomasza wyrzucono z lokalu. Szedł zataczając się pustymi ulicami. Było mu niedobrze, ale wilgoć dżdżu przyjemnie chłodziła spoconą twarz. I teraz nie wiedział, dokąd idzie. A przecież myślał zupełnie poprawnie: że należy wrócić do domu, że nie powinien się przejmować gadaniem Czubka. Koło kościoła Zbawiciela ujrzał przemokłą dorożkę, więc zaczął ku niej iść. Raz się oddalała, raz znowu była blisko – i nie mógł do niej trafić. Szedł przed siebie, uważając jedynie na to, by nie zderzyć się z żadnym murem. Czuł piekielny ból głowy – było jeszcze coś, czego na próżno szukał, coś, co się zdarzyło tego wieczoru, a od czego zależało całe jego życie. I właśnie tego nie mógł sobie przypomnieć. Skręciły go torsje. Usiadł na brzegu chodnika, wyjął chusteczkę z płaszcza, umoczył ją w rynsztoku i przyłożył sobie do nosa. Zaczęła trząść nim febra. Więc poszukał w kieszeniach marynarki antygrypiny. Rozdusił pastylkę na dwie części, a potem jedną połknął. Szło mu to nad podziw gładko. Ale połknięta część pigułki uwięzła mu w gardle i wypłynęła z powrotem z kwaśnym atakiem torsji. Położył się na mokrym trotuarze i głowę przytknął do kamieni. Zaczął głucho, zwierzęco płakać. „Po co ja piłem? – myślał. – Po cholereę ja piłem? Od dwóch lat po raz pierwszy tak się urznąłem. Po co ja się tak urznąłem? Nie, to nie to! Nie o to chodzi... O co właściwie chodzi? Chodzi o coś strasznie ważnego, o coś takiego jak śmierć. Albo coś w tym rodzaju... Ale o co? Co to było? No, co to było?...”

Podniósł głowę i zawołał:

– Ratunku!

Oczy poraził mu blask latarki.

– Możesz się podnieść?

– Nie mogę. Ja już nic nie mogę.

– No, widzisz, i na co ci to było?

– Ja tego naprawdę nie chciałem – powiedział Tomasz, a łzy płynęły mu po twarzy. – To Czubek. On mnie tak zaprawił. Żeby on mnie wysłuchał! Ale on mnie zostawił i zostałem sam z tym...

– Z czym?

– Nie wiem! Nie mogę sobie przypomnieć z czym. Z czymś strasznym. To się dzieje, to się ciągle dzieje, a ja nie potrafię temu zaradzić. To się dopiero rozkręca...

– Wstań. Pójdiesz do nas i prześpisz się. Gdzie masz dokumenty?

Podnieśli go i wzięli pod ramiona. Tomasz zwisnął im na rękach, ale starał się jakoś iść. Usiłował robić wszystko, na co go było stać. Starał się być dzielny. Toczyli się w milczeniu, ciężko oddychając. Przy jakimś narożniku przystanęli i zapalili papierosa.

– Dajcie pociągnąć – powiedział Tomasz. – Dajcie mi pociągnąć. Już wiem: jestem cholernie, cholernie szczęśliwy! – I znowu zapłakał.

II

Warszawa powoli budziła się ze snu, gdy Tomasz opuszczał posterunek. Niósł w ustach kwaśny smak alkoholu, gdzieś głęboko we wnętrzu niesmak do samego siebie. Poszedł na most Śląsko-Dąbrowski i przechyliwszy się przez poręcz patrzył nieruchomo na kotłujące się w dole krzykliwe ptactwo. Na ołowianym niebie wisiał leniwy wiatr, gdzieś w dole, w misie horyzontu, dymił statki. Za plecami Tomasza dudnił pierwszy tramwaj, przetaczał się wózek z warzywami. ktoś biegł wołając: „Hela, Hela!” w rozwartą i pustą perspektywę mostu. Na Mariensztacie zagrał kurant i znowu zapadła mokra, szara cisza. Tomasz nie odrywał oczu od wody, było mu dobrze tak leżeć podbródkiem na zimnej poręczy, obserwować leniwy napór rzeki na żółtosine golizny, wchłaniać nozdrzami ostrą substancję dżdżu. Wiatr strącił mu kapelusz: sfrunął chybotliwie na powierzchnię, potem spłynął w głąb, pod most, z pola widzenia Tomasza. Tomasz zszedł po schodach, przeszedł bulwarem w Solec i Czerniakowską, do Śródmieścia. Na Pięknej przystanął przed swoim domem i spojrzął w okna: były zasłonięte żółtymi storami. Ogarnęła go ssąca bolesna żalność. Nie mógł się oprzeć chęci wejścia do bramy. Ale na klatce schodowej zatrzymał się i patrzył długo na gołe drzwi z wymalowaną trójką na futrynie. Zaklął i wrócił na ulicę. Teraz szedł energicznie w stronę Alei Jerozolimskich, gwizdał nawet jakąś piosenkę. Śniadanie zjadł w «Polonii»: bardzo gorącą gorzką herbatę. W kiosku kupił gazety, wetknął je do kieszeni płaszcza i znowu zawrócił na Piękną. W bramie napotkał dozorczynię, która uśmiechnęła się kwaśno.

– A żona pańska tak się martwiła...

– Nie było o co – mruknął gniewnie Tomasz i wszedł do sieni. I tym razem dobrnął tylko do półpietra.

– Zapomniałem papierosów – powiedział dozorczyńni.

– Boi się pan?

Zaśmiał się.

– Ja? Czego? Zapomniałem papierosów, zaraz będę z powrotem. Jak nie mam w domu papierosów, to nic mi nie idzie... Zupełnie nic.

– Coś niedobrze z panem, panie Gorda! – Pokiwała głową kobieta.

– Co niedobrze? – spytał. – Niech się pani nie wtrąca. Ja pani radzę... Pani ma za długi nos, pani Gawełkowa. Niedobrze, jak dozorcynie mają za długi nos, niedobrze.

Splunął, roztarł ślinę podeszwą i czekał na dalszy ciąg utarczki. Ale gruba kobieta tylko wzruszyła ramionami. Podniosła wiadro, miotłę, skrzywiła się z niesmakiem i weszła do bramy. Tomasz postąpił naprzód, jakby szukając pomocy, krzyknął: „Pani Gawełkowa!”, ale jego wołanie utonęło w głuchej czeluści sieni.

Na postoju taksówek obudził drzemiącego kierowcę.

– Jedziemy, panie Wacek.

– O, co tak rano, panie Gorda? – Przypatrzył się dokładnie Tomaszowi. – Był pan u dziadzi?

– Nie mam żadnej dziadzi.

– Ma pan rację, panie Gorda. Te dzisiejsze lecą tylko na forszę. Nie rozumieją się na mężczyznach. Ja przed wojną miałem...

– Niech pan przestanie, panie Wacek!

– No co? Taki z pana święty?

– Chodzi o coś innego.

– Z żoną źle? Chora? Ale dokąd my jedziemy?

Tomasz zastanowił się. Dokąd? Rzeczywiście, dokąd? Posuwali się Alejami Jerozolimskimi. Z pociągów kolei elektrycznej wysypywali się pierwsi pasażerowie. Gardziel drewnianego tunelu wypluwała ich małymi, gęstymi grupkami.

– Dobrze pan jedziesz – powiedział Tomasz. – Zasuwał pan tak dalek.

– Na Główny?

– Na Główny.

– Co, mamusię pan odbierasz? Pańska mamusia to fajna kobita. Zresztą i żonę pan masz na medal. Udało się panu życie, panie Gorda: pański malec, ten piegowaty, to wciąż mnie nachodzi, żebym go wziął. Cwaniaczek! Ile on teraz będzie miał lat? A żonę to masz pan na medal. Nogi to ona ma, panie, takie nogi to tylko całować! I maąądra. Panie Gorda, pożycz mi pan dychę... Muszę, cholera, coś mojej kupić na imieniny. Trzymam w kieszeni dwudziestkę, ale chcę jej kupić perfumy za dwadzieścia osiem. Pożycz mi pan dychę, jutro oddam.

Zatrzymali się. Tomasz zapłacił, dołożył dziesiątkę i wszedł do hallu dworca. „Co ja robię? Gdzie ja chcę jechać?” I nagle uderzyło go jak ostra woń fiołków.

– Gdzie ty mnie chcesz zawieźć, Tomuś?

– Zawiozę cię na Tahiti!

– Głuptas! Masz dwadzieścia jeden lat, a pleciesz jak dziecko.

– Nie mów tak, Alinka.

– Muszę mówić. Muszę mówić, bo ty jesteś moje dziecko. Mój śmieszny synek.

Tomasz bał się poruszać, bał się najmniejszym ruchem zerwać nić wspomnienia.

„Jak to było dalej? Jak to było dalej?” Ale przepłoszyła go kobieta zamiatająca trociny.

– Z drogi!

Spojrzał na nią ze wstrętem jak na obrzydliwy przedmiot i podszedł do kasy. O tej porze jeszcze nie było kolejek. kasjerzy w głębi rozmawiali ze sobą. Długo chrząkał, zanim pulchna i anemiczna dziewczyna sprzedała mu bilet. Wypełniła blankiet ze znużoną miną, dopytując: „Normalny? Która klasa?” i uderzając w papier metalową pieczęcią. Brała ołówek do ust, śliniła go, tarła o dłoń, niechętnie zgarniała pieniądze. Było w jej zachowaniu coś z obrzydzenia światem.

Pociąg odjeżdżał dopiero w południe. Tomasz miał kilka godzin czasu. Postanowił iść do kina: wybrał jakiś sentymentalny program z Michèle Morgan. Ale w ciepłym fotelu ogarnęła go senność. Nie chcąc się poddać, wstał i w chwili gdy Michèle mówiła: „Niebo nie jest dla nas łaskawe”, opuścił salę. W bufecie napił się oranżady i spojrzał w lustro: zawsze blade, teraz był niemal siny. Miał w twarzy coś wulgarnego, co zostaje po przepiciu albo po rozpuście: wargi spieczone, w kącikach bąbelki śliny. Portier przyglądał mu się badawczo i uśmiechał ze zrozumieniem w stronę bufetowej. Tomasz wytarł pośpiesznie usta chusteczką, po czym wybiegł na ulicę. Stał nad otworem kanału, wyciągnął z portfela bilet kolejowy, mocno złożył go paznokciami i wrzucił w szczelinę ścieku.

Po powrocie na Piękną, tupiąc głośno, wszedł na schody, nacisnął trzy razy dzwonek i wsadził ręce do kieszeni. Tym razem postanowił rzecz doprowadzić do końca. Jeżeli to wszystko nie minie albo minie, a potem kiedyś powróci, to przynajmniej powie o tym otwarciu żonie. Nie jest tchórzem. Nigdy nie był tchórzem. Gdy inni – jeszcze za tamtych czasów – trzęśli portkami i mordy trzymali na kłódki, on jeden chodził z dumnie zadartą głową. Bo nigdy nie był tchórzem i nie pozwoli sobie ulec tchórzostwu aż do śmierci. Powie Marcie wszystko, jak jest, wszystko, jak jest – nawet przy dzieciach jej to powie. Niech go sądzi. Niech go sądzi, on nie będzie psem włóczącym się po ulicach jak Czubek albo jak inni. Za twardy jest na to.

Denerwował się i dzwonił raz po raz, raz po raz, a potem już nie odejmował palca od guzika. Zaczął walić pięścią. Znowu dzwonił. Zawział się i nie chciał skapitulować, ale za drzwiami nikogo nie było. Już dawno się tego domyślił, a przecież wciąż dzwonił. Potem wołał: „Marta! Marta!” Otworzyły się drzwi obok i ze szpary wychyliła się płaska głowa sąsiada w drucianych okularach i o rzadkiej brodzie.

– Ach, to pan – powiedział sąsiad. – Pani Marta zaraz rano poszła pana szukać. Zostawiła mi klucz. Chwileczkę...

Głowa znikła, coś zaszmyrgało w sieni, znowu zaszmyrgało i pojawiła się biała owłosiona ręka z kluczem. Tomasz podziękował, otworzył drzwi i wszedł do mieszkania. Z miejsca owionęło go pachnące ciepło mebli i dywanów. W sypialni łóżka nie były jeszcze zasłane, na środku pościeli leżała koszula Marty. Pochylił się nad nią, uniósł i pocałował. Potem klękając i przytulił policzek do prześcieradła. Słaby, żółty blask bił przez firanki na toaletkę zarzuconą jakimiś szminkami i kremami, na białe łóżka chłopców. Obok posłania Jerzego leżały na podłodze «Przygody Tomka Sawyera». Tomasz uśmiechnął się i sięgnął ręką pod poduszkę Marty. Wyczuł palcami twardość książki. „Wszystko w porządku – pomyślał – dom stoi, jak stał. To tylko ja zacząłem umierać. No, dzięki Bogu, skończyło się. Wszystko w porządku.”

Wstał i przeszedł do pracowni: kitel leżał w tym samym miejscu, w którym go wczoraj rzucił, na sztalugach stygło zapaćkane płótno. „Jakie to puste, jakie to przerażająco puste.” Zdjął obraz ze sztalugi i ustawił go twarzą do ściany. Na stole odszukał tempery i kawał kartonu. Rozrobił farbę, zanurzył pędzel w gęstej żółci, położył grube pacnięcie na karton. Chwilę wpatrywał się w żółtą plamę, następnie podparł ją miękkim tonem różu. I znowu uczył, jak rzucono mu w twarz garść fiołków.

– Co ty wyprawiasz? Jesteś stanowczo za bardzo spoufalcony. No, proszę cię... Tomek! Lepiej zrób mi gołębia z papieru. Uspokoisz ręce.

– Błagam cię, raz...

– No, to zrób mi niebo i piekło. W niebie będę ja, a w piekle ty.

– Dlatego, że chcę cię pocałować?

– Masz uspokoić ręce. Więc zrób mi coś z papieru.

– Jesteś wstrętna!

– Ty jesteś wstrętny. Chodzisz mi jednym okiem po szyi i łaskoczesz...

Milkło. Roztapiało się jak śnieg. Chciał to uchwycić, ale roztające przeciekało mu przez pamięć.

Tomasz przewrócił naczynie z wodą i rzucił farby na podłogę. Zataczając się wrócił do sypialni. Narzucił płaszcz i zapięty na ostatni guzik usiadł na rozchełstanej pościeli. „Co się ze mną dzieje? – myślał gorączkowo. – Może od tej wódki zwariowałem? Więc taki jest początek wariactwa?” I mocno postanowił: „Muszę tutaj siedzieć. Muszę tutaj siedzieć, choćby nie wiem co... Byłem zawsze trzeźwym i solidnym człowiekiem, o którym ludzie wiedzieli, co myśleć! Nie dam się nabrać na jakieś tam neurastenie... Za stary wróbel!” Wstał i podszedł do drzwi. Wrócił. Zapalił papierosa. Wstał. Zgniół papierosa o ścianę. Usiadł. „Mam na pewno cholernego kaca i to wszystko. Najwyżej pójde do Czubka, zabijemy klina, wszystkim przejdzie. Tak, chyba pójde do Czubka.”

Ale na ulicy – miast skręcić w stronę domków fińskich przy Parku Ujazdowskim – poszedł prosto w Aleje Jerozolimskie. Mijając przystanki autobusowe spoglądał nerwowo na zegary i sprawdzał ze swoim czasem: było jeszcze dwadzieścia minut do dwunastej... Na dworcu kupił bilet, w bufecie wyschłe bułki z kiełbasą, w kiosku trochę gazet. Zajął miejsce w pustym przedziale drugiej klasy i zrozumiał, że tak jest dobrze.

Więc mógłby mieć zupełnie inne życie. Nie wie, czy bardziej szczęśliwe, czy mniej. Ale mógłby mieć życie zupełnie inne. Mógłby mieć życie z tamtą kobietą... Ostatecznie, mógłby mieć życie jeszcze z jakąś inną i jeszcze z jakąś inną, i jeszcze z jakąś. Ale najważniejsze, że mógłby mieć życie z tamtą kobietą. Dlaczego tak trudno się pogodzić? Gdyby umarła, gdyby zabiła ją bomba, gdyby jej ciało zostało wyłączone z obiegu rzeczy żywych... Tak, wtedy byłoby łatwiej. Dlatego na przykład wdowy mają rumiane policzki i nie włóczą się po świecie. Trudno się pogodzić, gdy ona istnieje, gdy istnieje już dwadzieścia lat poza nim, a on przestał być w jej życiu czymś ważnym. Gdy jeszcze można teoretycznie poprobować... Gdy jeszcze istnieje najniklejsza szansa. Ach, gdyby nawet ona żyła, ale zerwanie nastąpiłoby we łzach i w płomieniach... Gdyby chociaż tak było. Nie, byli młodzi i głupi. Pokłócili się w taksówce. Tomasz klepnął w plecy szofera, kazał zatrzymać wóz i powiedział do Aliny: „Wyłaż!” Ona wyszła i skończyło się. Absolutnie. O co się pokłócili? Zaraz... zaraz... o co się pokłócili? Chodziło – zdaje się – o różnicę wieku. On powiedział:

– Pobierzemy się?

– Och, jesteśmy jeszcze tacy młodzi.

– Ale do świństw nie jesteśmy za młodzi?

Była tego dnia podrażniona.

– Najlepszy dowód, że zachowujesz się jak smarkacz!

– Nie wygłupiaj się! – usiłował załagodzić. – Cóż z tego, że jesteś starsza...

– Jak ty się do mnie odzywasz? Nie jestem do tego przyzwyczajona. Natychmiast wysiadam.

– Alinko! – powiedział błagalnie.

– Natychmiast wysiadam. A twoja fotografia...

Teraz on nie wytrzymał. Zrobił wściekłą minę i powiedział:

– Dobra.

A potem:

– Wylaż.

I to było chyba wszystko. Kochał ją. Raz w życiu tylko oddała mu się: kobieca do ostatniego włoska na skórze. Kochała go. Słyszał, że pięć lat później pytała przyjaciół, czy wyprzystojniał. Podobno miała w tamtych chwilach łzy w oczach. I to było chyba wszystko.

Potem nastąpiło dwadzieścia lat życia z Martą. Dobrego życia. Stał się ojcem jakichś dwóch ludzi – dlaczego właśnie tych? Potem nastąpiło głupie: dlaczego?... Kto tak chciał? On? Alina? Marta? Czubek? Dozorczyni? Kto chciał, ażeby wszystko ułożyło się właśnie tak, a nie inaczej? I czy tego nie można odwrócić? Pozostaje mu jeszcze jakieś dwadzieścia lat życia i o te dwadzieścia lat, przynajmniej o nie, będzie się bił. O, wie, że dopiero teraz nazwą go łapserdakiem, że będą płakać nad Martą i dziećmi, że nie stanie obelgi, której by na niego nie rzucili. Dopiero teraz będą go sądzić. Przedtem było wszystko w porządku, bo tak chciał ten... potem... właśnie nie wiadomo kto. Ale oni go wielbią i nie znając go, są mu posłuszni. Taki Czubek...

Nie. Tomasz się nie podda. Trudno, stało się. Tomasz mógłby mieć zupełnie inne życie i tego innego życia poszuka.

Zapadł już gęsty wieczór i za oknem pociągu przesuwały się najeżone światłami okolicce. Jakieś miasto, wsie, długie i smutne pola. Na polach żarzyły się czerwone kupki ognisk – w oddaleniu wyglądające tajemniczo. Niekiedy wylaniały się krzyże, kępy drzew, a wąskie korytarze wyrębów dymiły zimną mgłą. Tomasz nie zapalał światła. Pociąg przystawał ze skrzypieniem, znowu ruszał, krzyczeli jacyś ludzie, na peronach huczały elektryczne wózki. I zostawały w tyle tory z kolorowymi światłami, a z przodu narastały szyny długie, chłodne i ciemne.

Na jakiejś stacji wsiadła do przedziału Tomasza niemłoda kobieta o grubych udach. Miała je odsłonięte wysoko i coś wciąż majstrowała przy podwiązkach. Przez blisko godzinę była zajęta sobą. Potem wysunęła w stronę Tomasza pulchną dłoń.

– Chłopiec? – spytała miękko.

Podał jej rękę, na której namacała obrączkę.

– O! – Skrzywiła się. – Chłopiec żonaty... Chłopiec wraca do żoneczki?

Tomasz ściągnął obrączkę z ręki i położył ją na spódnicy napiętej między kolanami kobiety.

– Teraz dobrze?

– Coś ty zwariował, chłopiec?

– Tak, panienko, zwariowałem.

– Tak na fest?

– Co to znaczy?

– Masz zdziwę?

– To nie jest zdzira, panienko.

Kobieta znowu się skrzywiła, ale ujęła obrączkę w palce.

– Co mam z tym zrobić?

Tomasz przyjrzał się jej twarzy.

– Dasz sobie wstawić ząb. Nie masz zęba na przedzie.

– Dziękuję ci, chłopiec. Zamkniemy drzwi?

– Nie – powiedział Tomasz. – Jesteś za stara.

Odwrocił głowę i zapatrzył się w okno. Znowu przesuwały się długie, smutne pola.

– Nie mam matki – wyznał ni stąd, ni zowąd. – Nie mam już matki. Zresztą umarła bardzo dawno. Chyba sześć lat temu. Nawet dobrze: była już stara i nie mogła chodzić o własnych siłach. I w głowie nie miała wszystkiego w porządku: kradła jedzenie i chowała je pod pościel. – Uśmiechnął się. – Jak dziecko. Najbardziej lubiła konfitury...

– A co z twoją żoną?

– Z żoną? Z żoną w porządku. Była piękna i dobra. Ona zawsze bała się myszy. Wskakiwała zaraz na stół i wołała mnie na pomoc. To dziwne: bać się myszy... Nawet trochę żałuję.

– A ta, do której jedziesz?

Tomasz przytknął czoło do szyby i milczał. Wreszcie powiedział bardzo cicho:

– Nie wiem...

III

Na rynku natknął się na pogrzeb. Biły dzwony, orkiestra kolejarzy trąbiła Chopina, ksiądz śpiewał egzekwie: wszystko to wisiało nad promieniującą gorzkim milczeniem trumną. Ludzie szli pod dużymi parasolami, kichali w białe chusteczki, mówili coś do siebie z dyskretnymi uśmiechami, wdowa drobiła rażno krótkim kroczkiem, w którym więcej było energicznego zdecydowania aniżeli rozpacz. Woźnica zresztą poganiał chytrze konie, wszystko działo się pośpiesznie, między tą a tą godziną.

„Tu pogrzeb jest czymś zwykłym – pomyślał Tomasz. – To miasto już wymiera.” I nie dziwił się, gdy sam nie rozpoznał ani jednej twarzy i gdy jego nikt nie witał. Bez sentymentu patrzył też na wydepty bruk, na którym przeżył młodość i dzieciństwo. To nie on, to ktoś inny – też już bezpowrotnie umarli. Jedno, co mu pozostało, to drobne – tkwiące gdzieś w podświadomości – nawyki. Kawy napił się więc w małej kawiarence, w kąciku za piecem, gdzie rzeczy powinny mu pachnąć złotymi włosami Aliny, a woniały kurzem, gazetami i wszędzie ukrytą śmiercią. I do szkoły poszedł najkrótszą drogą prowadzącą przez fabryczne zaułki. Długo stał przed czerwonym gmachem, zanim okrążywszy go, zdecydował się wejść na wysypany żużlem dziedziniec. Jak przed osiemnastu laty, na podwórzu odbywała się gimnastyka, mimo deszczu. Nieładne, długorękie dziewczęta wymachiwały tymi rękoma, płaszcze trzeszczały na spiczastych ramionach, ubrana w marynarski mundurek nauczycielka skakała zalotnie i gwizdała co chwilę organkowym gwizdkiem.

„Więc to tak. Więc ona też miała te długie ręce.”

Tomasz uśmiechnął się głupio i przystanął przed dziewczętami nie zauważony przez nieustannie podskakującą nauczycielkę. Dopiero histeryczny pisk dziewczyn zaalarmował starą pannę, która z oburzeniem zajrzała Tomaszowi w oczy.

– Uczyłem się tu kiedyś – wybąkał Tomasz i wyciągnął rękę, ale stara pannica zacisnęła mocniej wargi.

– Ile ma pan lat?

– Czterdzieści...

– Nie wstydzisz się pan?

– Jestem Gorda...

– Nie znam, nie znam! – Podskoczyła lekceważąco. – Proszę iść. Proszę nie przeszkadzać w lekcji.

Dziewczyny małpowały wszystkie jej ruchy z groteskową zaciekleścią.

Tomasz z przerażeniem patrzył na to niezrozumiałe widowisko, a potem uciekł do gmachu. Na ścianach wisiały te same żółte kasety z ogłoszeniami, te same palmy wiotczały pod

tą samą warstwą kurzu. Idąc korytarzem Tomasz czuł się tak samo jak wówczas, gdy wyrzucano go za drzwi: w klasach skrzypiały ławki i monotennie dzwonił głos wykładowcy: „... ludowość u Kochanowskiego... bitwa pod Navarrino... jamochłony i gąbki... ty głupi, ty nie rozumiesz, że mi chodzi o przyspieszenie...”

Wszedł do sekretariatu, gdzie zawieszona u słuchawki kwiliła dobra pani z granatową kokardą w osiwiłym warkoczku:

– ... pani syn wróci do szkoły dopiero po konferencji rady pedagogicznej...

Nie, nie prędzej... No trudno, trudno... Kto wiatr sieje, burzę zbiera... Do widzenia. Do widzenia kochanej pani.

Odłożyła słuchawkę, poprawiła mocnym ruchem dłoni potężny kok z olbrzymią kokardą i mile uśmiechnięta pochyliła się ku Tomaszowi.

– Służę panu...?

Poznał ją. Ale wtedy jej warkocz był gorący jak miedź, gładki i ciężki. I piersi miała dużo, dużo wyżej.

– Uczyłem się tu kiedyś – powiedział. – Pani mnie nie poznaje?...

W jej bladych oczach zajaśniało jakieś wzruszenie, ale zaraz zgasło.

– Nie przypominam sobie... To musiało być dawno... – Podsunęła mu krzesło i sama nerwowo siadła zaplatając kurczowo ręce na postarzałych piersiach.

– Nazywam się Gorda... Tomek Gorda... Przezywano mnie „Glista”... Tomek Glista...

Pani z warkoczem przymknęła powieki. Były duże i niebieskie, obrzeżone nikłą rzęsą.

– Zajrzd do ksiąg...

– Nie! – zawołał Tomasz i chwycił ją za przegub ręki. – Pani musi sobie przypomnieć. Niech pani nie zagląda do ksiąg. Kochałem Alinę... Alina Rotterówna... Taka ładna. No, blondynka. Pani sobie przypomni – prosił.

Otworzyły się drzwi i wpadł jakiś uczeń. Potracił zgarbionego Tomasza, siorbnął nosem i wrzasnął:

– Psze pani, pani mi da klucz do gabinetu geograficznego!

Stara pani otworzyła oczy, spojrzała smutno na Tomasza i szepnęła:

– Mnie też jest ciężko... Chwileczkę.

Potem wyszła ze szczeniakiem na korytarz.

Tomasz siedział chwilę bez ruchu, wyciągnął papierosa i zapalił. „Ona musi sobie przypomnieć. Jak ona sobie nie przypomni, to znaczy, nie ma co szukać. Przepadło. Ona musi sobie przypomnieć. Nie dopuszczę jej do ksiąg. Będę tu godzinami siedział, a jej musi się przypomnieć.”

Pani Klara wróciła, zawiesiła srebrny kluczyk na ponumerowanej tablicy i znowu siadła.

– Niech pan coś opowie – zaproponowała.

– Byłem tu kiedyś z Aliną u pani. Alina miała skaleczoną rękę. Poprosiliśmy o opatrunek. Pani spojrzała na mnie i powiedziała: „Ty, rycerz, a po co ty tutaj?” Odpowiedziałem: „To jest moja przyszła żona”, pani zaczęła się śmiać...

Stara pani podniosła oczy:

– Spełniło się?

– Nie.

– Nie przypominam sobie.

– Byłem potem u pani sam. Wypełniałem jakiś druczek. Tam była rubryka: stan cywilny, a pani powiedziała: „Wpisz, Tomek, żonaty – na zapas”. Wylałem atrament na ankiety i uciekłem. Przypomina pani sobie?...

Kobieta potarła ręką czoło.

– Bardzo mi przykro. Chyba zajrzę do ksiąg... Tyle tu atramentu spłynęło...

– Nie! – zdenerwował się Tomasz. – Jak pani sobie nie przypomni, to ja...

– Tomek! – powiedziała czule stara pani i położyła mokre palce na jego głowie. – Tomek, czy ci nie wystarczy...?

Zapadło milczenie. Stara kobieta z granatową kokardą we włosach powoli wycofała rękę i patrzyła bez wyrazu na skrzywioną twarz Tomasza. W głębokiej ciszy zaterkotał ostro dzwonek na pauzę. Po minucie na korytarzu wybuchnął złowrogi wrzask. Tomasz podniósł się i poszedł do drzwi.

– Przepraszam...

Stara kobieta westchnęła:

– Szuka pan kogoś? Tej blondyny?

– Tak – powiedział Tomasz i wyszedł.

Wąski korytarz kotłował się od wymachujących rękoma, skaczących na jednej nodze, uderzających się wzajemnie po głowach, śpiewających i wykrzykujących coś malców. Oblepiali Tomasza, łapali go za płaszcz, bardziej odważni podstawiali mu nogi. Odtrącał ich brutalnie, ale oni – uparci – parli wciąż naprzód, obklejali go pacynkami gumy do żucia, mazali kredą. Dziewczyny spacerujące parami, splecione tkliwym uściskiem, chichotały na jego widok. Piętnasto- i szesnastoletni młodzieńcy, których męskość objawiała się na razie w brzydkim uwłosieniu gołych łydek, mierzyli Tomasza pogardliwym i wyzywającym

spojrzeniem. Podszedł do czerstwego brunecika i wyciągnął papierośnicę. Tamten spojrzał łakomie, ale natychmiast się odwrócił. Malcy wrzasnęli triumfalnie, dziewczyny zaniósły się jeszcze zacieklejszym chichotem.

Ale tam – na samym końcu tego wariackiego tunelu – stała na pewno ona. Na pewno stały tam jej oczy. Tomasz przepychał się teraz z energią, odtrącając małych głupców.

Wreszcie dotarł do chudziutkiej dziewczynki o wielkich oczach Aliny. Przestraszona zbliżyła się i dygnęła.

– Proszę pana?

Wrzask ucichł. Wszyscy patrzyli z uwagą na Tomasza. Co on powie? Tomasz uśmiechnął się i pokręcił przecząco głową. Potem wyszedł znów na zadeszczony dziedziniec.

IV

Profesorka mieszkała wśród papug, książek oprawionych w skórę i wśród niezliczonych lusterek. Stały duże, obramowane srebrem i ciętym drzewem, wisiały małe – owalne, kwadratowe, wielokątne. Tomasz, gdziekolwiek się odwrócił, widział swoją spoconą twarz. Napawało go to wstrętem i drażniło aż do granic wytrzymałości. Dopiero gdy zagłębił się w trzeszczącym pluszowym fotelu, gdy w nim bez reszty utonął, poczuł się bardziej bezpieczny.

– Pamiętam was wszystkich – zaskrzeczała profesorka i potrząsnęła srebrnymi loczkami. – Ty jesteś Tomek Gorda. Płakałeś, gdy biłam cię po palcach. O, ale ja biłam! – Bezzębne wargi staruszki skurczyły się jak u psa. – Mocno biłam, co?

– Mocno pani biła – zaśmiał się Tomasz. – Nigdy nie mogłem się nauczyć palcowania przy chromatycznej. Ale Alina Rotter...

– Alinka Rotter – podchwyciła staruszka – to była uczennica! Podobno jeszcze gra...

– Wie pani coś o niej? – zawołał Tomasz. – Co się z nią dzieje?

– Ale co się z tobą dzieje? – spytała staruszka. – Więc zostałeś malarzem?

– Tak. Zostałem malarzem. Mam dzieci, żonę. Dwoch synków mam – pochwalił się.

– Uczysz ich grać?

– Uczę.

– Masz fortepian czy tylko pianino?

– Tylko pianino.

– No tak, tak! – Pokiwała głową profesorka. – W tych nowych mieszkaniach... Opowiadałam ci kiedyś o moim mieszkaniu w Paryżu?...

Tomasz powiedział:

– Opowiadała mi pani.

– O! – Skrzywiła się staruszka. – Ale bardzo dawno temu. Opowiem ci jeszcze raz... Ale zaraz, zaraz... – Zakrzętnęła się niespokojnie. – Napij się kawy. Mam mokkę... – Zamaskowała wargami. – Wyborną mokkę...

Wyszła do malutkiej kuchenki i długo tam dzwoniła talerzykami. Tomasz słyszał też, jak sobie coś śpiewa. Podniósł się i starannie wymijając lustra, poszedł do sekretarzyka, nad którym wisiał portret chudej, wylupastej dziewczyny z nieskończonej piękną arystokratyczną szyją. To był portret profesorki. Na sekretarzyku leżały listy, papiloty, z kryształowego wazonu wyzierały kikuty kwiatów i zalatywało nieznośną wonią długo nie zmienianej wody. Spoczywał tam też album, który znał z dzieciństwa. W ten album profesorka wpisywała nazwiska nowych uczniów i godziny lekcji. Rozchylił kartki, między którymi snuły się blade jak wszy pajęczki. Czytał: Adams... Albińska... Akcentowicz... Arbeit... Czerkies... Duda... Erwich... Filipiński... Gorda...

Wszędzie nad tymi zwietrzalymi notatkami grubą krechą nakreślony był czerwony znak zapytania. Szybko kartkował, by dotrzeć do litery R, ale nie zdążył. Babulka wniosła tackę z małymi filiżankami i dzbanuszkami, jeszcze z jej panińskiej wyprawy.

– Jak ci się podobają moje papugi? – Spojrzała tkliwie na dwa nastroszone straszyska, stare chyba tak jak ona. – Ta z białym grzebykiem umie mówić: „Lubię Chopina”, a ta druga tylko śpiewa i to „Deutschland, Deutschland über alles...” Po niemiecku. Na szczęście, śpiewa rzadko.

Nalała rzeczywiście wyśmienitej kawy. Od chwili rozejścia się z mężem przed czterdziestu laty była narkomanką. Jej blade ręce, pokryte piegami aż po łokcie, od których zaczynał się koroneczkowy rękaw, jej blade ręce wszędzie nosiły sine znaki nakłucia. Była to siność zastarzała, stapiająca się niepostrzeżenie z brunatnością jej zwiędłej skóry. Chleptała kawę wysuniętą do przodu trąbką warg, jak małpka.

– W Paryżu... – Popatrzyła z wyrazem niemego błagania na Tomasza. – W Paryżu...

– Przepraszam panią – powiedział najłagodniej jak umiał Tomasz, ale ona nagle roześmiała się i pocałowała Tomasza w czoło.

– Oczywiście, Tomku. oczywiście jesteś taki sam. Nie masz wprost pojęcia, jak się ciebie. Czy umiesz jeszcze coś na fortepianie?... Zagraj mi coś, Tomku... – poprosiła i odgięła pokrywę brązowego skrzydła. – Najlepiej grałeś «Meditation» Bacha i Gounoda...

„Jaką ona ma pamięć! – pomyślał ze zdumieniem Tomasz i wstał. – Ale czy jeszcze potrafię? Nie mogę jej zrobić zawodu.”

Usiadł do fortepianu i położył ręce miękko na klawiaturze. „Wysoko nadgarstek, palece swobodnie, prawie bezwładnie w dół. Prosto plecy, głowa trochę do tyłu. Nie za dużo, bo to pachnie snobizmem, ale trochę nie zaszkodzi. Francuzi bardzo na to zwracają uwagę: wirtuoz musi być estetyczny. Łać. nie rąbać, łąć po kropki, po kropki, ale żeby kropki wiązały się między sobą. Żeby to był ten śpiew aniołów, o których myślał Bach. Tomku, Tomku, łokcie skupić. łokcie bardziej do siebie. Tomku, Tomku, peda! Tu z pedałem trzeba ostrożnie jak z kotem. Niech on schowa pazury.”

Profesorka przysunęła różowy puf i jak dawniej siadła nisko z papierosem w rękę. Była malutka i bezbrzeżnie zasłuchana. Tomasz rumienił się jak w czasach dzieciństwa i jak wtedy zerkał bokiem na usta nauczycielki, by rozpoznać w ich wyrazie ocenę jego gry. Popiół z papierosa gęsto sypał się na kolana wylupastej dziewczyny, która miała już siedemdziesiąt lat.

– Szukam Aliny Rotter – powiedział cicho Tomasz. – Pani może mi pomóc?

Staruszka zostawiła go bez odpowiedzi. Spiczastymi palcami ścisnęła gilzę papierosa, jakby ją chciała przeciąć paznokciami. Skończył i opuścił ręce. Staruszka podniosła z przerażeniem blade oczy.

– Już?

– Już – powiedział Tomasz. – Grałem bardzo źle, ale dawno nie ćwiczyłem...

– Graj, graj jeszcze raz, Tomku. Wysoko nadgarstki, Tomku.

Powrócił do muzyki. Uświadomiwszy sobie, jakie ona ma znaczenie dla profesorki, partaczył już zdecydowanie. Łamały mu się pasaże, nie mógł trafić na właściwe klawisze. Płytki stały się śliskie od wilgoci jego rąk. Teraz rąbał – ale rąbał z całą determinacją nie przygotowanego ucznia, który mści się w ten sposób na nauczycielce.

– Nie przerywaj – powiedziała profesorka, gdy zrobił gest zupełnego zrozpaczenia. – Nie przerywaj. Niech mnie kłuje. Nie nauczyłam cię. Niech mnie kłuje. Zawsze byłam za delikatna na tę harówkę. Jestem hrabianką ostatecznie. Powinni mnie pieścić, powinni mnie kochać, a kazali mi tego słuchać. Słucham tego, słucham. Graj, Tomku. Tylko mi nie przerywaj, bo jak cię trzasnę! Rąb dalej, rąb do końca. Za dziesięć minut przyjdzie Alinka Rotterówna i trochę mi ulży. Ale potem znowu przyjdzie ten Adams, ten parobas, ten rzeźnik, on jest jeszcze gorszy od ciebie. A potem przyjdzie Pukla, naperfumowany fryzjerszyk, i będzie poprawny jak jego ojciec przy ondulacji... Ale rąb, Tomku, rąb! Za to ja zaraz tu usiądę i będziesz musiał wysłuchać, jak grałam Schumanna na konkursie w Paryżu...

– Tak – zgodził się Tomasz i zszedł z taboretu.

Staruszka z wypiekami na żółtej twarżycze (te wypieki były od kawy i papierosów) usadowiła się przy klawiaturze i zaczęła bić mocno, tak mocno, że jej chude ramiona здаwały się trzeszczeć i grozić odpadnięciem. Wbrew zapowiedzi grała Preludium cis-moll Rachmaninowa i krzyczała:

– Szukasz Aliny Rotter? Chcesz się dowiedzieć o Alinie Rotter? Kochałeś ją, prawda? Więc interesuje cię, co teraz robi Alina Rotter? A pamiętasz, jak opowiadałam ci o Romualdzie, o tym moim pierwszym? Pamiętasz, jak się wierciłeś, jak cię swędziła pupa? A pamiętasz, jak naplotkowałeś Adamsowi, temu rzeźnikowi Adamsowi, o tym, że trzęsę się za portkami? Pamiętasz, jakim byłeś chamem, Tomku?

Tomasz spuścił głowę.

– Więc nic mi pani nie powie?...

Staruszka przestała grać, ale nie ruszała się z miejsca. Zgarbiona, nieruchoma, była tylko nędzną babulką, która żałuje swojego wybuchu i teraz się boi, że ją będą bić. W ciszy, jaka nastąpiła, słyszało się tylko drapanie papug o grzędę.

– Szkoda mi, Tomku – powiedziała profesorka – że nie przyjechałeś do mnie. Jestem taka stara. Sinieje mi lewa noga. Zaczęło się od palców, a teraz idzie coraz wyżej. Już jest za kostką. Chyba nie doczekam gwiazdki.

– O, wygląda pani jeszcze wspaniale – powiedział Tomek.

– Tak – przyznała – ale gdybym zdjęła trzewik, zobaczyłbyś straszne rzeczy. I mężczy mnie każdy spacer. Trzymam się tylko tą kawą. Moje życie, Tomku, zmierza do szczęśliwego zakończenia. Najbardziej boję się o moje papugi... Tak je podchowałam... Nie będzie nikogo, kto by je wziął...

Tomasz podniósł z fotela płaszcz i zbliżył się do profesorki.

– Idziesz? – Poglądziła go przepaszająco po ręce. – Idziesz? Bo nie mówię ci o Alinie?

Tomasz nie wiedział, co odpowiedzieć, więc tylko mocniej zacisnął palto. Ale staruszka poderwała się z miejsca i zaczęła mówić gorączkowo, połykając wyrazy, jakby chciała mu powetować wszystko:

– Słuchaj, Tomek, Alina cię kocha. Jest słynną pianistką. Mieszka w Ameryce. Mieszka w Ameryce, tłumy noszą ją na rękach. Ona mieszka w Ameryce. Jest pianistką światowej sławy. To moja szkoła, Tomek, to moja szkoła, Tomek. Wszyscy mówili, że ja się skończyłam, zanim zdążyłam się zacząć, ale Alina mieszka w Ameryce. Píše do mnie. Napisała, że cię kocha. Jest pianistką, ogromną pianistką i moje nazwisko wszyscy w Ameryce dobrze znają. Chciałam ci to powiedzieć na końcu, żebyś nie myślał, że zrobiłeś przysługę staremu gratowi. Nie, nie. Życie hrabianki się nie zmarnuje, Alinka... Alinka mieszka w Ameryce...

Staruszka skurczyła się i zaczęła przejmująco kaszleć. Tomasz odprowadził ją czule na fotel i gdy odpoczywała ze śmiertelnie bladą twarzą, wyszedł na palcach z pokoju.

Jezdnią już posuwał się rower z człowiekiem zaopatrzonym w długi kij, którym zapalał gazowe latarnie. Nad tymi latarniami przeszła również jedna z najstraszniejszych wojen, a przecież nie zdołała zgasić ani jednego płomyczka. Ani jednego zielonego płomyczka.

V

Nazajutrz wstał o świcie i poszedł na dworzec. Wsiadł do pociągu z małymi wagonikami, po których pustce krążył konduktor z latarnią. Podróż była krótka; po upływie dwudziestu minut zza okien pociągu wyłoniła się piękna tafla jeziora otoczona bujną zielenią nadwodnych krzewów. Nad plażą chyliła się stara tancbuda z koślawym napisem «Moulin des Amours». I po wodzie płynął żagiel. Tomasz wysiadł i udał się nad wodę.

Dwadzieścia lat temu zobaczył tu pierwszą nagą dziewczynę. Nad wodą stał tabor cygański: kolorowe wozy, wspaniałe konie, brudni ludzie. Przedzierając się pod wozami, przemykała w stronę jeziora szesnastoletnia Cyganka w długiej po kostki koszuli. Weszła tak do wody i położyła się w niej nieruchomo jak nieżywa. Tomasz leżał opodal w trawie, stężał od skupienia: okrągłymi oczami patrzył, gdy Cyganka wstała – całe jej piękne ciało oblepiło mokre płótno. Cyganka chciała iść w głąb jeziora, ale mokra koszula utrudniała jej ruchy. Wtedy rozglądnęła się: wokół była pustka, tabor spał, woda połyskiwała zimno jak nóż. Cyganka zdarła ostro koszulę z ramion i chwilę stała na tle przezroczystego nieba. Tomasz poderwał się i wepchnął pięść do ust.

Tego dnia w południe przyjechała Alina.

Malarz Tomasz Gorda zdjął buty i boso w płaszczu ruszył mokrą plażą. Doszedł do rzadkiego lasku, w którym znajdowały się kabiny do przebierania. W tych kabinach było pełno wybitych sęków, a przez otwory chłopcy łakomie podpatrywali przebierające się dziewczęta.

Wtedy – dwadzieścia lat temu – Tomek i Alina kąpali się do późnego wieczoru. Wszyscy już odjechali, a stali bywalcy bawili się w tancbudzie. Tomek i Alina poszli do jednej kabiny i zamknęli się. Alina zdjęła kostium, Tomek wziął szorstki biały ręcznik i wycierał Alinie plecy.

Malarz Tomasz Gorda pomyślał o swoich synach:

„Dlaczego już jestem taki stary? Dlaczego ja to już miałem, a dlaczego oni to dopiero będą mieć? Dlaczego są tacy głupi? Dlaczego są tacy niepodobni do mnie? Mają wszystko z Marty: jej głupotę, jej samozadowolenie... Ale ja się nie zgadzam. Chociażbym miał zdechnąć, odnajdę. Odnajdę... Co? A jeżeli ona ma męża? Jeżeli też ma dzieci? Na pewno ma, była

zbyt piękna. No, co wtedy? Wtedy choć jeden miesiąc, choć jeden tydzień... To naprawdę niedużo: zamiast życia – tydzień. Jakim prawem mi ją zabrano? Kto? Kto jest tym bęcwałem, któremu oddała swoje nogi i całą rozkosz? Jak on wygląda? Czym on jest przy mnie? Z pewnością jakiś szczer... Łupnę go w okulary, rozkwazę mu nos... Ona nie będzie go bronić... To byłoby najstraszniejsze, gdyby zechciała go bronić.”

Potem już nie myślał. Siedział ubrany w płaszcz, bosi, śmieszny. Słońce wzbilo się wysoko na niebie, zaczęli napływać ludzie. Rozkładali koce, butelki piwa, jaja na twardo, książki, parasole. Z tancbudy zaryczał głośnik: „Powiedz mi, mój księżycu...” Zacharzał i umilkł. Młodzi chłopcy w obcisłych slipach podrzucali piłkę. Jeden raz rzucili tak, by odbiła się o głowę Tomasza, który budził tu uśmiechy politowania. Tomasz wstał, spojrzął na porozcią-gane ciała. Poznawał niektóre twarze, ale ich zwiędłość i nieświeżość napawała go zabobnym lękiem. Straszyla go także cisza tej plaży. Każda plaża ma swój specjalny hałas, a ta nie miała żadnego. Zobaczył jakieś szerokie białe plecy, z których tłuszcz roztopionego kremu ściekał na lososiowy kostium. Kobieta miała piegi na rękach i szyi oraz pyszne włosy blond. Siedziała tyłem, tłumacząc coś gołemu berbeciowi. Tomasz cofnął się z przerażeniem: „To nie ona, to chyba nie ona”.

Uciekł z plaży w las. Włóczył się kilka godzin. Na drugim skraju lasu, gdzie na piaszczystych wydmach rudziła spalona trawka, w kotlinie ujrzał jastrzębia wydłubującego zającowi oko. Jastrząb niespokojnie typtał na Tomasza, ale nie przerywał swojej uczt. Niekiedy obracał ogromnymi skrzydłami i wyciągał długą szyję.

Upał pachniał śmiercią. W jakimś zakątku Tomasz zdecydował się zdjąć płaszcz, marynarkę, spodnie. Nie miał kąpielówek, tylko krótkie czarne gatki. Objął rękoma kolana, pięty zanurzył w wodzie, na głowę naciągnął chusteczkę związaną na rogach. Po chwili położył się i spojrzął na niebo. Było czyste, aż szare.

Po godzinie zaszmarało coś obok, za ścianą trzcin. Na małą piaszczystą wysepkę przyszła jakaś para. Chłopiec i niebrzydka dziewczyna. Nie zauważyli Tomasza.

- Tu to zrobimy? – zapytał chłopiec, ale patrzył uparcie w wodę.
- Nie. Nie zrobimy tego – Tomasz usłyszał głos dziewczyny – ja się boję.
- Dobra – zgodził się chłopak leniwie. – Mnie wszystko jedno. Wykąpiemy się?
- Nie – powiedziała znowu dziewczyna. – Mam dość wody.
- Dobra – zgodził się chłopak leniwie. – Mnie wszystko jedno.

Siedzieli w milczeniu i było widać, że nie są szczęśliwi. Dziewczyna wyciągnęła z koszyczka ser, pomidory, długą bułkę, słoik z masłem i dużą butelkę gruzińskiego wina. Nagle zachichotała uszczęśliwiona.

- Zalejemy się?
- Dobra – powiedział chłopak – możemy się zalać. Słońce tak grzeje, to raz-dwa się zalejemy. A co potem będziemy robić?
- Potem? – Sposępniała dziewczyna. – Potem zobaczymy. Jak człowiek się zaleje, to już wie, co robić, no nie?
- No tak! – Chłopak pokiwał głową i zanurzył nogę w wodzie. – Zupa. Można się ugotować. Zaczęli jeść, głośno mlaskając. Ziarnisty sok pomidorów spływał chłopakowi po piersi, roztarł go kciukiem. Z napchanymi ustami powiedział:
- Czego się boisz, głupia? Ja nie jestem szczeniak...
- Pójdiesz z powrotem do Alicji. Znam cię – zaprotestowała dziewczyna.
- Eee – zastanowił się chłopak – chyba nie.
- Znowu milczeli, a chłopak wybijał korek z butelki. Po otwarciu wina powąchał je i pochwalił:
- Ujdzie. Ile płaciłaś?
- Dwadzieścia siedem. Zjesz pomidora?
- Zjem. No co? Zrobimy to? Bo ty wiesz, że jak ja się zaleję, to ja już nic...
- Nie zwracaj głowy – oświadczyła dziewczyna i rozpięła włosy. – Ale gorąco!
- Położyła się na wznak, chłopak podpełznął do niej na brzuchu i pocałował w udo. Podciągnął wolną ręką butelkę, wychylił olbrzymi łyk.
- Tomasz nie wytrzymał. Podszedł i powiedział:
- Ja też jestem głodny.
- Chłopak zerwał się i krzyknął:
- Coś pan, zwariował? Odchrzań się, dziadzie!
- Dziewczyna spojrzała na gatki Tomasza i chusteczkę na głowie. Zaczęła się śmiać.
- Odchrzań się, dziadzie – powtórzył chłopak i popchnął Tomasza. Tomasz ocenił go wzrokiem i chwycił za gardło.
- Siadaj, szczeniaku.
- Sam usiadł koło przestraszonych młodych, pociągnął łyk wina, zjadł dwa pomidory. Wytarł usta wierzchem dłoni.
- Ile masz lat? – zapytał chłopaka.
- Zaraz zawołam milicję, zobaczy pan – pogroził chłopak.
- Jesteś głupi. Ile masz lat?
- Dwadzieścia.
- Połowę...

– Co połowę?

– Połowę tego co ja. Jesteś gówniarz.

– Panie – zaperzył się chłopak – ja pójdę po chłopaków. Zrobimy z pana marmoladę.

Niech pan się odchrzani.

Tomasz wstał i podniósł chłopca.

– No, ganiaj. Ganiaj po chłopaków!

Dziewczyna śmiała się urągliwie, nie wiadomo pod którym adresem. Chłopiec drżał z oburzenia i płakał.

– Odpieprz się pan, bo...

Ale gdy Tomasz nie odwrócił nawet głowy, chłopak powstał chwilę, powstał, a potem poszedł powoli w las. Co kilka kroków przystawał, spoglądał boleściwie na dziewczynę i groził Tomaszowi pięścią. Dziewczyna przestała się śmiać.

– To szczeniak... – powiedział Tomasz. – Takich szczeniaków ja bym... Pani go kocha?

– Kto pan jest? – wydeła wargi dziewczyna. – Czego pan chce?

– Racja. Zapomniałem się przedstawić. Jestem Gorda. Z Warszawy. Ale urodziłem się w miasteczku. Też przyjeżdżałem tutaj, ja też miałem randki – powiedział Tomasz.

– Z Warszawy? – spytała dziewczyna i znowu spojrzała urągliwie na gatki Tomasa.

– Tak. Czy to źle?

– Nie. Ale czego pan chce? Przyszedł pan morały prawić?... I na pewno pan z Warszawy?

– O miłości... – odpowiedział Tomasz.

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

– Pan? W tych gaciach?

– O, przepraszam – zawołał Tomasz i zarumienił się. – Bardzo przepraszam.

Chwileczkę...

Skoczył na swoją polankę i naciągnął spodnie.

– Lepiej?

Dziewczyna zmierzyła go krytycznym spojrzeniem:

– Jeszcze to z głowy... Więc pan jest z Warszawy?

Tomasz ściągnął chusteczkę.

– Teraz możesz mnie pan pocałować... – Nadstawiła wypukłe usta.

Tomasz objął ją i poczuł przejmującą radość ściskania mocnego, nabitego ciała dziewczyny. Przewrócił ją na koc. Po chwili odsunął dziewczynę i wyznał:

– Szukam kobiety, którą kochałem dwadzieścia lat temu...

– Po co?

– Jak to po co?

– Ile ona wtedy miała?

– Dwadzieścia ileś.

– No to teraz ma czterdzieści ileś. Na pewno ma obwisłe piersi i brzuch. Po co pan szuka tego starego pudła?... Pan jesteś całkiem do rzeczy... Możemy razem pójść na kolację, a potem coś zrobimy... Ja z tym szczeniakiem nie chciałam, bo on gryzie... Zupełnie głupi.

– Czy ty kochasz tylko ciało? – spytał Tomasz.

– A co? Duszę? – zaśmiała się dziewczyna. – Ty duszą to robisz? Chcesz, to mogę ci się rozebrać. Zobaczysz, jaka jestem... Napijesz się wina?

Tomasz wypił i pocałował dziewczynę w usta. Nogami wsunęła się pomiędzy jego nogi, jej piwne oczy stały się złote jak oczy kota albo kozy. Ścisnęła go za kark, wbijając długie paznokcie. „To zwykła dziwka – pomyślał Tomasz. – Muszę się ratować. Nie wolno mi tego zrobić, bo się stanę gorszy od tego gówniarza. Mam czterdzieści lat, jestem staroświecki i wierzę w miłość. Nie po to rzuciłem Martę, sto razy milszą od tej tu. Ale może mi to ulży? Może to mi wystarczy?”

Późnym wieczorem wrócił na główną plażę. Nad jeziorem stał czerwony księżyc, zwiastując złą pogodę. Trzciny szumiały, kumkały żaby. Na kładce wysuniętej w jezioro tkwił samotny rybak nieporuszony jak rzeźba. Drobny wiatr marszczył wodę. „Może jestem stara, Tomku, ale jestem tak stara jak twoja żona, którą potrafisz pożądać, a przecież to jestem ja. Zgadzasz się ze mną?”

– Oczywiście – powiedział Tomasz wodzie i podszedł do rybaka.

– Biorą?

Rybak pokiwał głową. Tomasz przyjrzał mu się dokładnie.

– Adams, poznajesz mnie?

Rybak odwrócił głowę.

– Poznaję. Co robisz?

– Szukam Aliny Rotter...

– Aha! – Rybak pociągnął żyłkę i zarzucił gdzieś dalej. Tomasz chwycił go za łokieć.

– Adams! Nie poznajesz mnie?

– Poznaję. Zapomniałem, jak się nazywasz, ale poznaję. O ile się nie mylę, to ty zjadłeś tę glistę na lekcji Kokota...

– Tak, ja! Ale nic innego nie pamiętasz...?

– Owszem, zjadłeś jeszcze jedną glistę na lekcji Definicji...

Nagłym ruchem poderwał wędkę, złapał miotającą się rybkę i wrzucił do kubelka. Zmienił przynętę. Tomasz śledził jego ruchy, a kiedy rybak znowu zeszytniał w swej czujnej postawie, Tomasz wyjaśnił:

– Kochałem Alinę Rotter...

– Zaraz, zaraz... – Zmarszczył się rybak. – Ty też? Alinę Rotter kochał Tomek Gorda, ale nic z tego nie wyszło. Puściła go kantem – zaśmiał się mściwie.

– Przypominasz sobie?

– Ja jestem Tomek Gorda – powiedział Tomasz. – Rozumiesz? To właśnie ja!

Rybak potarł ręką czoło.

– Racja. To właśnie Tomek Gorda zżerał te glisty. Jak to czas leci... Jeszcze zżerasz? – zainteresował się.

– Nie wygłupiaj się, Adams. Szukam Aliny Rotter... Może coś o niej wiesz? Twoja siostra się z nią przyjaźniła...

– Moją siostrę – wyjaśnił rybak – zaszlachtowali Niemcy. Jak ci się wiedzie?

– Bóg zapłać – westchnął Tomasz. – Byłeś głupi i zostałeś głupi.

– Prawda? – ucieszył się rybak. – Nic się nie zmieniłem. Wszyscy to mówią. Jedni pomarli, drudzy poszli na ministrów, trzeci na bandytów, a ja sobie zostałem taki sam. A ty – mnie się zdaje – wyszeł na zgrywusa. Czy to coś złego, gdybyś zżarł dla mnie jedną glistę? Miałbym co opowiadać w domu...

Tomasz usiadł na mostku, zwiesił nogi i ręce. Księżyc wędrował na linii horyzontu, nad ciemnym usypiskiem lasu po drugiej stronie jeziora. Płonęły tam nikłe światełka rozrzuconych domostw. W tym lesie mieszkali kiedyś rodzice Aliny – ojciec był leśnikiem. Czy jeszcze żyją? Kiedyś Tomasz z Aliną przepłynęli całe jezioro – dwa kilometry. Wtedy ojciec Aliny powiedział do Tomka: „No, jesteście godni siebie. Wariaci i zdrowi jak ryby. Będziecie mieli ładne dzieci, byle nie za prędko”. I pogroził Tomaszowi: „Te, majster!”

Tomasz poczuł, jak go łapie za gardło ordynarny skurcz. Przemógł się i powiedział spokojnie do rybaka:

– Te, Adams, jak myślisz, przepłynąłbym to jezioro?

Rybak przykucnął i spojrzał na drugi zalesiony brzeg. Zmrużył oczy.

– Daleko... dwa kilometry... – Podniósł się i zdecydował: – Za stary, bracie, jesteś.

– Założymy się? – zapytał Tomasz. Nie wiedział, dlaczego kontynuuje tę bezsensowną rozmowę, ale coś go w nią wciągało. Lubił hazard. Adams uśmiechnął się zadowolony.

– Lepiej załóżmy się, czy zeżresz glistę. Ja mówię, że nie. Stawiam pięćdziesiąt, no, nawet sto złotych stawiam. Jak? Zeżresz glistę? W budzie umiałeś, ale teraz nie potrafisz. No, zakład stoi?

– Nie zeżrę glisty – wrzasnął Tomasz. – Daj mi spokój z glistami. Oprócz tego, że żarłem glisty, robiłem tysiąc innych rzeczy: umiałem dobrze pływać...

– Tak, ale najlepiej wychodziła ci ta sztuczka z glistami – powtórzył rybak.

Tomasz zerwał się i ściągnął płaszcz, marynarkę, spodnie. W tej chwili gotów był na wszystko: rzucił płaszcz Adamsowi.

– O ten płaszcz zakładam się, że przepłynę. Ja ci pokażę twoje glisty, ty gnoju!

„Ty też jesteś stary, Tomek. Czy robisz to dla mnie? W takim razie nie rób tego!”

– Nie – powiedział Tomek – ja przepłynę całe jezioro tam i z powrotem.

Jeżeli przegrasz, zbiję ci mordę i utopię cię w tym jeziorze. Jestem gotów na wszystko.

– Te, wariat – krzyknął rybak, ale Tomasz już wskoczył do wody. Biegł uniesiony wariacką energią, wysoko wyrzucając nogi. Zimna woda opryskiwała jego białe ciało. Wreszcie zanurzył się w fale i stracił grunt – zaczął płynąć. Płynął spokojnie, starając się nie zbaczać ze srebrzystego szlaku na wodzie. Coraz słabsze krzyki rybaka śmieszyły go. Płynęło mu się nad podziw lekko: odgarniana rękoma woda wpływała pod ciało, unosząc Tomasza swobodnie jak korek. Zaczął się pas wodorosli łaskoczących nogi i brzuch. Tu biegła granica największej głębiny, która pociągnie się z kilometr. „Tylko nie myśleć o tym ani o skurczu, ani o czymś podobnym. Wszystko pójdzie dobrze.” Kiedy nie odczuł spodziewanego napływu lęku, ogarnęło go radosne, młodzieńcze uniesienie. „Mogę nawet trochę pocrawlować” – postanowił. Jakies trzysta metrów przeklaskał tatarskim cawlem. Czym dalej w głąb jeziora, tym obficiej występowały ciepłe prądy, opływając pieszczotliwie Tomasza. Przewrócił się na wznak i odpoczywał. Potem znowu wszedł w cawł, a potem znowu odpoczywał. Zresztą płynął coraz gorzej i na jakies pięćset metrów przed brzegiem zaczął tracić siły. Uczucie uniesienia ustąpiło miejsca naporowi lęku. Teraz szamotał się w wodzie, by prędzej dotrzeć do celu, ale ten pozostawał wciąż za daleko. Ostatni odcinek Tomasz płynął półtorej godziny, ciężko dysząc i raz po raz łykając wodę.

Wszedł z wody na galaretowatych nogach, z sercem w gardle. Upadł na piasek i zasnął.

Obudził się z zimna w środku nocy. Księżyc pojaśniał i stał pionowo nad lasem. Tomasz ruszył brzegiem do lasu. Biegł tak z pół godziny. Potem szedł szybkim krokiem. Droga powrotna wokół jeziora była dłuższa i zanim Tomasz wrócił na mostek, gdzie rozmawiał z Adamsem, zaczął się seledynową smugą przedświt. Wszystkie rzeczy, oprócz płaszcza, leżały na mostku. Tomasz zajrzał do wewnętrznej kieszeni marynarki: pieniądze znajdowały się na swoim miejscu. „No cóż – pomyślał Tomasz – wygrał płaszcz. On jest głupi, ale lubi sprawy serio.” Ubrał się i otrzepał z piasku.

– Miłość? – powiedział głośno. – Czy chodzi mi tylko o miłość?

Splunął i przeciągnął się.

– Każdemu chodzi o to samo – dorzucił – ale nie każdego na to stać...

VI

Następny tydzień był chmurny i zimny. Piasek zszarzał, plaża wyludniła się i tylko miotane wiatrem toczyły się kule pergaminu, zwitki gazet. Tancbuda, nad którą zamieszkał Tomasz, zapadła w sen. Jedyne szef siedział wciąż za kontuarem, przesuwając butelki z lemoniadą i dłubał w zębach. Czasami się złościł. Wówczas wypijał ogromnego kielicha, przewracał stoliki i kopał krzesła. Trwało to krótko, tak jak nagle wybuchalo. Potem siadał pośrodku zakurzonej i zdewastowanej salki, rozchyłał kraciastą koszulę i drapał się po owłosionej piersi. Miał tam wytatuowaną kobietkę. Siedział tak i przyglądał się, jak staruszka-matka wraz z jego dwiema rudymi córkami ustawiają przewrócone krzesła.

Tomasz – w swej niskiej izdebce z ogromnym oknem na siną wodę – sypiał do południa, schodził do kuchenki, w której zjadał od razu obiad, potem wracał na górę. Nie mył się, nie golił. Ciskał niedopałki na podłogę i patrzył przez okno. Nic się nie działo. Krzyczał czarny ptak, zwany tu nurkiem, woda stała się gniewna, nieprzychylna ludziom.

Tak. Tutaj ostatecznie urywał się ślad. Tak prędko. Tak prędko urywa się tylko ślad po człowieku. „Idioci jedynie myślą – dumal Tomasz – że cokolwiek tutaj żyje. Tutaj się tylko coś przemyka: człowiek czy zwierzę, wszystko jedno. Przemyka się, przemyka i dopiero gdy legnie pod jakimś kopcem ziemi, zaczyna istnieć. Wtedy jest ten konkretny kopiec.”

Wstał, zapalił naftową lampę, wziął jakiś papier pakunkowy i ołówek. Narysował zwykły dziecinny domek, ale tak, by było widać, że jest pusty. Że wszyscy w nim umarli. Bo nie miał już dokąd pójść. Siedział na tym poddaszu tylko po to, by nie wracać do domu, w którym wszyscy umarli.

„Wstawałem zwykle o dziesiątej. Ziewałem i wyskakiwałem z łóżka. Natychmiast otwierałem radio. Wysłuchiwałem wiadomości, naciągając koszulę i spodnie. W kuchni dzwoni-

ły garnki i wychodziła uśmiechnięta Marta w czerwonym fartuszkach. Ona mówiła: «No, leniu!» O Boże, przecież ona to mówiła codziennie... Tak, tak na pewno – codziennie to samo. Ja codziennie całowałem ją w czubki palców, i to codziennie z przekonaniem, że muszę być cholernie sympatyczny. Myłem się i goliłem już z diabelnym zadowoleniem. Jadłem śniadanie. Raz był pikling, drugi raz szynka. Pikling, szynka. Szynka, pikling. W lecie jeszcze rzodkiewki. Do tego herbata albo mleko. Nigdy kawa. Żeby choć raz, żeby choć jedyny raz... żeby się pomyliła... żeby się czymś wzruszyła... żeby mnie zdradziła i z wrazenia dała choć raz kawę... Nie, kawa nigdy. Do piklinga herbata, do rzodkiewki i szynki – mleko. Po śniadaniu pytałem: «Jak tam chłopcy?» i wysłuchiwałem odpowiedzi, że Jerzego bolał ząb, że mały nasikał znowu w łóżko. Mówiłem: «Jerzy musi iść do dentysty. Tak, on stanowczo musi iść do dentysty. Mały jest chyba przeziębiony. Daj małemu takiej specjalnej herbatki. Jak mu nie ulży, zabierz do lekarza...» Potem ucałowałem Martę w czoło i wyrzekłszy sakramentalne: «Czas do tej cholery harówki», szedłem do tej cholery harówki. Malowałem, jakbym z każdym pacnięciem zdychał. I rzeczywiście zdychałem. Zdychałem do obiadu. Jadłem obiad i pytałem: «Jerzy, co w szkole?» «Nic, Sadowski wyleciał z klasy!» «Nie koleguj się z Sadowskim. On chuligan.» «Tak. On ma już pannę, tato. Prawdziwą pannę.» «Smarkacz! Żebyś mi się nie kolegował z Sadowskim! Jak cię zobaczę z Sadowskim, to tyłek spiorę, że coś okropnego!» «Mały, co u ciebie w przedszkolu?» «W przedszkolu nic, tato, ale jak wracałem do domu, to złapałem robaka, o tu go mam!» «Co to za robak? Zwykła gąsienica. I nie pokazuj mi tego przy obiedzie!» «Marto, te kotleciki są wyśmienite!» «Jerzy, nie garb się.» «Mały, jeżeli nie zjesz do końca, to nie dostaniesz budyniu!» «Marta, żebyś mu nie dała budyniu!»

Po obiedzie kładłem się na godzinkę i czytałem przyniesione przez chłopców gazety. Bułganin z nieodłącznym Chruszczowem albo Chruszczow z nieodłącznym Bułganinem składali wizytę Nehru, a potem Nehru składał wizytę Bułganinowi i Chruszczowowi. Świntuchy z Ameryki rzucali próbną bombę wodorową. Bułganin i Chruszczow składali wizytę. Świntuchy z Ameryki bombę. Stonka. Deratyzacja. Zrywałem się wypoczęty i pełen koncepcji politycznych godnych Churchilla, gdyby Churchill nie był kapitalistycznym rekinem. Szedłem do plastików. U plastików zebranie: okazało się, że świetlicom potrzeba malarstwa reprezentującego nasz surowy czas. Coś o Hiroszimie, coś o elektrowni atomowej, coś o nawadnianiu pustyń. Potem krzyczeliśmy na Utrilla, że pijak i zgnilec, i na Eibischa, że lakiernik.

Wracając kupowałem ciastka. Marta (codziennie!) odwijała ciastka i mówiła: «Jesteś wspaniały. Inni piją, a ty przynosisz ciastka». Uśmiechałem się skromnie...

Tomasz chwycił lampę naftową i z całej siły cisnął ją przez okno. Sypiąc iskry, leciała jak pocisk na tle brudnej ulicy. Upadła na tarasie i z hukiem objęła się wysokim płomieniem. Długą chwilę płonęła gorzko jak cmentarny ogarek.

„A ona wyszła za rzeźnika. A ona wyszła za rzeźnika. Ma na imię: Ludomir, jest czerstw i gruby. Z radosnym uśmiechem ćwiartuje mięso i rzuca je – mlaskające – na równo pocięte papiery. Wyciera paluchy o tłusty fartuch. W nocy te same paluchy wyciera o przesieradło. Wsuwa się pod pierzynę, dyszy, dyszy, okropnie dyszy. Stęka: «Cholera, od tych figielków rozboleło mnie serce. Łatwiej mi wołu ukatrupić». Wysuwa jęzor, przemyka nim po wargach i dyszy, dyszy, okropnie dyszy. A ona siedzi na brzegu łóżka: naga, cała w świetle księżycy i drżą jej kolana. Rzeźnik: «Obudź mnie jutro o piątej. Jutro przywożą salceson i balerony». Ona: «Obudzę cię jutro o piątej». Zachodzi w ciążę, jest potwornie zniekształcona przez Ludomira. Jej twarz upodabnia się do kaczego dziobu. Kwacze: «Kwa, obudzę cię jutro o piątej. Kwa, obudzę cię jutro o piątej»."

Lampa spełznięła ostatnim płomieniem, zgasła. Tomasz narzucił marynarkę i zszedł do salki. Szef jeszcze siedział przestawiając butelki z zieloną lemoniadą. Na widok Tomasza uśmiechnął się przyjaźnie.

– Lampę już doliczyłem. Ale ją pan zasunął! No, daj panu Bóg zdrowie!

Tomasz przysiadł do szefa i wyjął mu butelkę z rąk.

– Co robić, szefie?

– Co ma pan dalej robić? Panie Tomku, mnie pan jesteś wygodny: płacisz pan swoje i w porządku. Ale ja takiego jednego miałem...

– No? – zainteresował się Tomasz.

Szef pociągnął palcem po grdyce.

– Jaskier się nazywał – wyjaśnił. – Urzędnik jakiś. Właściwie bida. A powiesił się, panie, elegancko jak jakiś hrabia... – Pokiwał z zachwytem głową. – Elegancko, mówię panu. szyk jak ta lala.

– Stary? – zapytał Tomasz.

– Nawet nie – powiedział szef i podrapał się po piersi. – Owszem, dziwak, ale żeby stary, to nie. Jaskier się nazywał. Tylko że on lamp nie rzucał. Dreptał sobie, dreptał, chrząkał sobie, chrząkał – i pewnego dnia przestał i dreptać, i chrząkać. Boża wola.

Tomasz odstawił butelkę.

– To zapłacę panu?

– Zapłać pan i wracaj do domu. Szczerze panu radzę.

– Ja do domu nie mogę – zaśmiał się głupio Tomasz. – Już wolałbym jak ten Jaskier. Więc co, szefie?

– Co? – Szef się naburmuszył. – Kielicha? – I przysunął wódkę. Znowu się zeźlił. Krótkim ołówkiem wygryzmołił Tomaszowi rachunek. Uderzył weń dłonią i dodał: – Weź pan sobie jakąś zdziwę! Albo...

– Albo?

– Albo... Wie pan, kiedyś miałem też coś w tym rodzaju. Wpierw myślałem, że to reumatyzm, jak Bozię kocham. Rozebrałem się do naga i włożyłem w pokrzywy. Dupę mi spiekło, alem nią wiercił w tych pokrzywach do skutku. I nic. To nie był reumatyzm. Wtedy zrozumiałem, że muszę iść... Byleby iść.

– No dobra – powiedział Tomasz – ale dokąd?

– Teraz jest noc?

– Jest noc.

– To niech pan zrobi tak: niech pan wyjdzie z letniska i przejdzie z jakieś dziesięć kilometrów. Wtedy zechce się panu spać. To niech pan nie wraca. Niech pan poszuka noclegu przed sobą. I niech pan tam pości i pobędzie do drugiej nocy. Może pan trochę popytać. Nie zaszkodzi. Więc w nocy znowu pan pójdziesz przed siebie z dziesięć kilometrów i znowu poszukasz pan noclegu. I apiać na nowo. Furt w ten deseń, panie Tomku.

Tomasz zamyślił się.

– Tak – powiedział – a jeżeli pójde w odwrotną stronę? To może się zdarzyć...

– Co w odwrotną stronę? – zapytał szef i wychylił kielicha. – Co w odwrotną stronę?

– No, jeżeli będę się oddalał od Aliny?...

– Tego nie będziesz pan wiedział. Grunt iść. Grunt coś robić. Jak człowiek nic nie robi, wtedy przepadł. Ja, pan zauważył, gdy nie mam gości i tak siedzę, tak siedzę... to ja muszę trochę pobradziażyć. Inaczej bym przepadł.

– Te krzesła? – zapytał Tomasz.

– Te krzesła – zgodził się szef. – Chociażby te krzesła. Widzi pan, panie Tomku, to jest życie... Wierzy pan w Boga?

– Niespecjalnie – powiedział Tomasz. – Może i coś tam jest, ale do kościoła nie chodzę.

– Więc ja też nie chodzę, a w Boga wierzę. I Pan Bóg sobie powiedział: „Ja was wypróbuję, chłopaczki. Ja wam śruby przykręcę, chłopaki. Zobaczymy, jacy wy jesteście. Zobaczycie, czy nadajecie się do życia!” No i przykręca nam tej śruby. Jedni się rozklejają jak ten Jaskier, inni – twardo. Ja panu radzę twardo, panie Tomek.

– Dziwny z pana człowiek, szefie – powiedział Tomasz i wstał. – I niewesołego masz pan Boga...

Szef uśmiechnął się, nalał drugiego kielicha, podsunął go Tomaszowi.

– Pański będzie taki sam. Ale wpięć musisz Go pan poznać...

Tomasz wypił i uściśnął rękę szefowi. Ten wytoczył się zza kontuaru.

– Poświęć panu! Tylko bez kawałów, panie Tomku?

– Bez kawałów, szefie.

Na tarasie przed tancbudą owionął go deszcz i ziąb. Tomasz wyszedł na drogę. Było ciemno, choć oko wykol, a nad głową szumiały liście. Szedł po omacku. Po pewnym czasie znalazł się w oslepiającym świetle reflektorów i minęło go wielkie ciężarowe auto. Z platformy coś spadło i potoczyło się w kałużę. Tomasz podniósł duże jabłko, obtarł je chusteczką i schował do kieszeni.

„Żeby mnie jakieś psy nie napadły. Nie mam nawet kija. Bóg... «Ja was wypróbuje, chłopaki. Ja wam przykręcę śruby, chłopaki. Zobaczymy, czy nadajecie się do życia!» A Adamsowi dopomogła pogoda – nie potrzebował przyjeżdżać na ryby i tłumaczyć się z płaszcza. Na pewno siedzi w domu, otoczony dawnymi kumplami, i opowiada: «Tomek Gorda, ten, co żarł glisty, zwariował. Zawsze mu to przepowiadałem. Pamiętacie?» I ta dziewczyna z plaży. Ta dziewczyna i ten chłopak nie dadzą sobie przykręcić śruby przez Pana Boga. Tutaj szef strzela w plot... Oni po prostu nie dadzą sobie przykręcić. Ich nie w zasadzie nie obchodzi. Nic? To jedynie, że pewną rzecz robi się fajnie. Czy takim ludziom można coś przykręcić? Ale... może nie tylko Jaskier nie nadawał się do życia, może oni też nie nadają się do życia? Najwstrętniejsza rzecz: egzystować. Trzeba podnieść przeciwko wszystkiemu bunt. Głowa nie może egzystować. Kiedy głowa egzystuje, staje się właściwie niepotrzebna. Po co takiemu chłopakowi głowa? Gdybym był tym chłopakiem, przerobiłbym na szaro wszystkie dziewczyny z miasta, a potem wziąłbym sznurek. Mógłby być nawet pakunkowy. Litra i ten sznurek. Ale ja nie jestem z ich pokolenia – ja sobie idę. Ujdę z dziesięć kilosów, zobaczymy, dokąd zajdę. A profesorka? Profesorka kłamie. Taki jest jej bunt, bo każdemu o to chodzi, ale nie każdego na to stać. Żeby mnie jakieś psy nie napadły...”

Tęga setka, którą wypił z szefem, dodawała mu sił i wigoru. Zaczął śpiewać:

Ona włoży swą piżamę na ten dzień.

Ona włoży swą piżamę na ten dzień.

Ona włoży swą piżamę.

Jasną, czystą swą piżamę...

„Szef miał rację. Gdybym posiedział u niego jeszcze dzień – przepadłbym. A tak: dostanę Ludomira w swoje ręce. Będzie przy drzwiach dzwonek. Zadzwoni. Wejdę i powiem: «Pan Ludomir?» «Nie, Bazyli». «Może być Bazyli. Pan jest mężem Aliny Rotter?» «Tak. Alina Rotter jest moją żoną.» «Alino, Alino, podaj nóż.» Nie. «Alino, Alino, pakuj się.» «Tomek! Mój Boże, nareszcie przybyłeś.» «Tak, przybyłem, Alino. Zabieram cię Bazylemu. Pakuj się.» «Panie, zostaw pan moją żonę.» «Panie Bazyli, szuka pan guza?» Zamieszkamy w jakimś hotelu. «Nie bój się, Alino. Biorę dla ciebie osobny pokój. Pragnę tylko na ciebie patrzeć, Alino.» «Tomek, masz wielkie serce!» «O, nie przesadzaj!» «Jesteś prawy i szlachetny, Tomaszu.» «Alino, ja jednak mam prośbę. Pewnego dnia zamkniemy się w jednym pokoju, ty zdejmiesz suknię.» «Tomku!» «Zdejmiesz suknię, a ja wytrę ci plecy grubym froterowym ręcznikiem. To wszystko.» Potem ona zacznie nalegać i spadnie na nas jeszcze jedna noc rozkoszy. Wykorzystam wszystkie doświadczenia, by wprawić ją w zachwyt, by stworzyć tą nocą coś niepowtarzalnego. A Bóg niech tym razem przykręci Bazylemu.”

Szedł chyba przeszło godzinę. Na horyzoncie zamajaczyły jakieś światełka: wieś. Ruszył biegiem, przesadzając rowy, brodząc w zimnych kałużach. Drzewa lały na niego dokuczliwym dżdżem, ale on czuł tylko surowy i porywający miąższ życia. Dotarł do opłotków i przy pierwszej chacie, gdzie tliło się jeszcze światło, zatrzymał się. Przesadził furtkę i nie zważając na ujadające psy, załomotał do okna.

VII

- Legitymowaliście go?
- Tak! Nazywa się Gorda. Należy do Związku Plastyków. Artysta.
- Aha. Artysta. No, to co innego. Sprawdziliście, czy taki w ogóle jest?
- Sprawdziliśmy. Zginął dwa miesiące temu. Pytają, czy co wiemy...
- Zawiadomiliście?
- Tak.
- No i co?
- No i kazali go zatrzymać. Ale jak go zatrzymać? Człowiek wolny.
- A on nie wariat? Chodzi tak w kółko, szuka czegoś – i nie wariat?
- Nie. Strasznie mizerny, ale nie wariat. Poczęstował nas papierosami...
- Więc kogo on szuka? Czy on nie szuka koło jakichś obiektów?

– Nie. Koło żadnych obiektów. Tak łązi. Lezie ze wsi do wsi – z miasta do miasta. Pyta o jakąś... jakąś... Zaraz, zaraz... mamy zapisane... jakąś Alinę Rotter. I jakiegoś Bazylego. Ale z tym Bazylim chyba żartuje, bo się tak głupio śmieje.

– Zwariować można!

– To ja mówię, obywatelu poruczniku, to ja mówię. Tych artystów kochanych to ja bym co miesiąc na trzydniówkę... Bo żeby on coś ukradł albo kogoś rąbnął, albo coś. A toto lezie...

– Lezie i nic?

– Lezie i nic.

– Niemożliwe!

– Jak Boga kocham, obywatelu poruczniku. Widzieliśmy go w Pszczynie, w Radocicach, w Glinowie i Bartłomiejach. Inne posterunki też go notują.

– Macie protokół?

– Mamy.

– Czytajcie!

– „Ja, Tomasz Gorda, będąc zapoznany z wszystkimi przepisami zapodaje, co następuje: Idę przed siebie szukać Aliny Rotter. Znałem rzeczoną Alinę Rotter dwadzieścia lat temu i ona była młoda. Utrzymywałem z nią nie sympatii. A teraz idę przed siebie...”

– To bzdury. On robi z was balona. Idzie przed siebie! Utrzymywał nie i teraz idzie przed siebie! No, no! Zrobił z was balona jak złoto. Chyba że wariat...

– Ja nie wykluczam, obywatelu poruczniku, że on wariat... Ale przecież zupełnie normalnie poczęstował nas papierosem.

– Zwariować można! Która to godzina?

– Czwarta, obywatelu poruczniku.

– No, ja idę na obiad.

– Smacznego, obywatelu poruczniku.

„Mieszka w tym następnym. Dziadzio na targu mówił, że taką widział w sąsiednim miasteczku przy pompie. Że co wieczór bierze tam wodę. Ma włosy blond. Więc jeszcze ma włosy blond? Co było z tymi włosami? Z tymi włosami było tak: gdzieś w lutym padał rzęsiasty śnieg. Na dworze trzaskający mróz, a w jej pokoiku ciepło i szumi gotowana herbata. Miała na sobie szary, szorstki sweter, ale piersi widziało się nawet przez tę obfitą wełnę. Usiadła w fotelu i przypominała Maję ubraną. Podszedłem i wyjąłem jej grzebień z włosów. Włosy rozdzieliłem na dwie części i zawiązałem jej na przegubach rąk. Była jak w płaszczu.

Spytała: «Co ty wyprawiasz?» Odrzekłem: «Tak będą się ubierały kobiety za tysiąc lat. I ty będziesz się tak ubierać, bo nie wierzę, że umrzesz. Ty nigdy nie umrzesz. Będziesz żyła za tysiąc lat». Uśmiechnęła się i uwolniła ręce. «Widzisz? Nie będę żyła tysiąc lat.»

Na tych cmentarzach można oszaleć. Niektórzy żyją po osiemdziesiąt, drudzy po dwa lata. I tak za długo – za długo o osiemdziesiąt i za długo o dwa lata. Nie będę już szukał po cmentarzach. Już niczego nie znajdę. Ale wciąż jeszcze się nie zgadzam. Dziadzio mówił, że widział taką przy pompie. Jak wyglądają jej stare ręce? Mają ciekawą, lśniącą jak pergamin skórę, kolor ich jest lekko brązowy. Wieczorem pokrywa je niewidoczna wilgoć, którą odczuwa się raczej jako chłód. Bo ona – obok całego swego anielstwa poszukiwanego człowieka – jest nieodłączną częścią przyrody. Jak dzień ma swoje pory, jej ciało ma swoje przemiany. Jak woda ma swój poranek świeży, tak ona ma różne usta, ręce i oczy. I o to właściwie chodzi: żeby zobaczyć wieczór jej oczu, rąk i ust.”

– Więc jak ona się nazywa? Przymknijcie to okno.

– Służę, obywatelu poruczniku. Ona się nazywa Alina Rotter.

– Sprawdziliście?

– Tak, obywatelu poruczniku. Alinów Rotter jest u nas trzy.

– Odwiedziliście?

– Odwiedziłem, obywatelu poruczniku. Jedna rocznik 1881... emerytka...

– Odpada.

– Odpada, obywatelu poruczniku. Rzeczonego Tomasza nie zna ani w ząb. W jej wsi był Gorda, powstaniec 1863, i na dobitkę Filip. Więc chyba nie ten, obywatelu poruczniku?

– Na pewno nie ten. Czy on jeszcze żyje?

– Nie.

– No, to dalej...

– Dalej druga Rotter: postawna kobieta. Wiek nie chciała zapodać, ale postawna. Blondynka. Tomasza Gordy na oczy nie widziała, za to złożyła skargę na Eugenię Cybulską, praczkę z piętra...

– Odpada.

– Trzecia, obywatelu poruczniku, jak powiedziałem, że szuka jej Tomasz Gorda, poprosiła, żebym przyszedł za tydzień. A w ogóle to ona chyba chorą: błada jak gruzlica. Wolałbym tam nie chodzić...

– No tak. No, niby trzeba... Czy ten Gorda jest jeszcze w naszym obwodzie?

– Nie. Poszedł sobie.

- A która to godzina?
- Czwarta, obywatelu poruczniku.
- No tak. To nie chodźcie do tej trzeciej...
- A co zapodać do Warszawy, obywatelu poruczniku?
- Że wybył. Niech go szukają gdzie indziej. My na artystów gwizdźdem. Idę na obiad.
- Smacznego, obywatelu poruczniku.

„SzeF miał rację. Grunt iść. Nieważne, w jakim kierunku. Byleby iść. Rozgryzłem tę tajemnicę: to sprawa tęsknoty. Tęsknota nie wzrasta tylko w miarę upływu czasu, wzrasta również z powiększaniem się przestrzeni. Kto siedzi w miejscu, jest wobec przestrzeni punktem, zerem, niczym. I tak, chcąc pokonać tęsknotę, trzeba bić się z przestrzenią. Mam nadzieję, wciąż mam nadzieję, że tu – za tym wiatrakiem – albo tam – trochę dalej, tam – w tym lesie, że tam ją zobaczę.

Właściwie to jestem wykończony. Już nie się nie dzieje: śpię w zapluskwionych hotelikach, zwiedzam prowincjonalne muzea. Mam w nogach ból, w ustach gorzkość papierosów. Ludzie mnie nienawidzą; starzy gorszą się na widok mojego lenistwa, młodzi na pompacyjność moich słów, gdy mówię bardzo po prostu: «Szukam Aliny Rotter. Zgubiłem ją dwadzieścia lat temu». Dwadzieścia lat w życiu tych ludzi to wieczność. Chodzą, krzyczą, jedzą, tańczą, idą w krzaki. Spieszą się nawet z tym. Ale jest w nich przekleństwo ich pokolenia, nie pojmują najprostszego stwierdzenia: «Szukam Aliny Rotter». Wciąż mam nadzieję, że już na następnym przystanku: w sklepie ze śledziami... może w kinie...

Byłem w kinie. Ktoś pocałował kobietę w szyję.

Szyjo! Czy można wyć do szyi? Czy można tak wyć jak o chleb? Zadrzeć mordę i nie-ustępliwie?

Można!

Wczoraj zauważyłem tak materialną rzecz jak serce. Usiadłem na trawie i zobaczyłem brzydką dziewczynę o chorych oczach. W tych oczach było więcej skupienia niż w najzacieklejszej modlitwie. Podeszła, dotknęła mojej koszuli. Powiedziała: «Też?». Odpowiedziałem: «Też». Uśmiechnęła się.

A po co ja wyszedłem? A po co bym żył w tym domu? Po co? Po co ta dziewczyna jest chora? Po co szef rozbija stołki? Po co? Chciałbym mieć takiego kogoś, komu bym to wszystko powtórzył. Po co? Ktoś za to musi odpowiadać. Mam czterdzieści ileś lat i właściwie powinienem się dopiero urodzić. Ale ja poczułem serce i to, że się starzeję. Za rok będę starszy

i tak już co roku. Cóż za odkrycie! A to jest ogromne, przerażające odkrycie. I to odkrycie niosę Alinie Rotter, która dokonała go z pewnością wcześniej. W jakimś nędznym pokoiku, korzystając z popołudnia wolnego od jej męża, gdy jej dzieci już zasną, zażenowani, sztywni, będziemy patrzeć na siebie z obrzydliwą powagą. Pomyślę: «Zbrzydła. Czego ja szukałem? Ta dziewczyna z plaży miała rację, wolałbym jedną noc z młodą niż dziesięć z tą resztą». Alina pomyśli: «Skończył się». Powiem: «Jak ci leci?». Ona powie: «Leci».

Za całą włóczęgę mam otrzymać tylko to słowo: «Leci»? Dobrze. Sam dobiję się o to słowo, ale nie zniosę, bym miał doczekać się jedynie milczenia. Nie zgadzam się”.

Wieczorami było już bardzo zimno, porankami znajdował na trawie szron. Ulice napełniły się wonią cebuli, jabłek i siana. Mieszkania i hotele zaczęły pachnąć naftaliną. Szosy zaroily się od ciężarówek z mundurami, na dworcach spotykał przestraszone grupki chłopców z walizczkami i pod opieką na razie dobrodusznym sierżantów. Szła coraz głębsza jesień.

Hotele były przepełnione ludźmi ze skierowaniami do pracy, którzy nie otrzymali jeszcze mieszkań: kontrolerami wszelkiego rodzaju krążącymi po terenie jak złowieszcze ómy.

Słońce robiło się malutkie i gorzkie jak migdał. Pola zachodziły sporyszem wędnięcia i rozkładu. W jakimś mieście wszedł do sklepu kupić sobie płaszcz. Stał w kolejce i przyglądał się komicznemu obrządkowi przymiarek i handlu. Ale zanim dotarł do kontuaru, ogarnęło go zniechęcenie i nuda. Wyszedł bez niczego. Brudna uliczka zaprowadziła go na obszerny plac, na którym kołowały karuzele i kiwały się huśtawki. Zwierzęta w karuzeli były brzydkie i smutne: konie o łbach podobnych do czaszek jakichś przedpotopowych ptaków, łabędzie z przerażająco długimi szyjami, kalekie wielbłądy. O tej porze, kiedy dzieci przebywały w szkołach, cały ten drewniany i złowieszczy świat wirował nieomal bezludnie. Na łódce kołysał się jakiś mężczyzna o twarzy rzezimieszka, na karuzeli ujeżdżała samotna babcia z chorowitym wnuczkim i umorusana dziewczynka. Tomasz zapłacił kobiecie w szarym fartuchu za bilet i dosiadł kalekiego wielbłąda.

Kręcił się tak z pół godziny, wpatrzony w babcie wydającą jakieś mizerne okrzyki i w nieruchomą główkę dziecka, które przyjmowało tę zabawę z grzeczną rezygnacją. Nad ich głowami chrypiał głośnik i wykrzykiwał coś o morzu.

Tomasz zsiadł z wielbłąda, poszedł do strzelnicy, trzy razy wystrzelił szóstkę i już zabrakło zabawy. Na huśtawkę nie miał najmniejszej ochoty.

Jadał w restauracyjkach, w których raz po raz wybuchały niezrozumiałe awantury. Nocował w zapluskwionych hotelikach.

Przestał dopytywać o Alinę, w ogóle przestał mówić. W miastach, do których trafiał, szukał cyrku, kina, karuzeli, fotoplastikonu. Została tylko prostacka zaciekłość, upór bezmyślny i twardy jak chłop.

– No i co nowego?

– Po prawdzie nic. Wczoraj zamknąłem na przetrzeźwienie Klimka, a ten łobuz Trutniok usiłował zgwałcić Wróbel Kazimierę.

– Wróbel Kazimiera? Czy to ta z magli?

– Tak jest, obywatelu poruczniku. Ta z magli.

– Przecież ona jest zezowata... Czy ten Trutniok całkiem zgłupiał?

– Nie wiem, obywatelu poruczniku. Ona głupia, że tyle wrzasku narobiła... Trutniok łobuz, ale chłop niczegowaty. Co z żoną, obywatelu poruczniku?

– A co ma być? Kolki ją od czasu do czasu biorą...

– To ta pogoda, obywatelu poruczniku. Jesień niedobra dla zdrowia. Mnie to znowu babka dogorywa. I znów kłopot: trumna, ksiądz, takie rozmaitości.

– Słuchajcie no... a ten... ten artysta?...

– Tomasz Gorda?

– No! Co z nim?

– Rozwiał się, obywatelu poruczniku. Moim zdaniem to był szpieg.

– Mówiłem!

– Tak, to był chyba szpieg. Szkoda, żeśmy go tak zmarnowali. Dzisiaj trudno o szpiega.

A myśmy go tak zmarnowali.

– Nie wiecie, co w kinie grają?

– «Strajk w Szanghaju», obywatelu poruczniku. Robotnicy piaskiem posypują kapitalistyczne czołgi i czołgi diabli biorą...

– To nie warto iść?

– Nie warto.

– No, ale co robić? I która to godzina?

– Czwarta, obywatelu poruczniku.

– Pójdę na obiad.

– Smacznego, obywatelu poruczniku.

VIII

Tomasz jeszcze raz spojrzął na kartkę.

Otrzymał ten adres przypadkowo od kioskarki «Ruchu», która dla leśniczego odkłada gazety. Powiedziała: „On jest na miejscu starych Rotterów i stara u niego mieszka”.

Jesień wydała się Tomaszowi płomiennoczerwona, drzewa pachnące aż do zawrotu głowy. Na skraju słonecznej polany ujrzał stado saren i zaczął się modlić: „Doprowadź mnie... i wybaw od wszelkiego zła”. Spadła na niego najrzadsza z łask: spojrzął na świat zażawionymi oczami dziecka. Szedł nie szukając ścieżek, szedł na przelaj cienkich paproci, przedzierając się przez ostre cierniste gałęzie. Gdy zobaczył leśniczówkę, stał długo, z sercem w gardle. Domek był biały, milczący, z gołą gruszą u drzwi. Po podwórku łążyły kaczki.

Pomyślał sobie: „Jestem brodaty, brudny, obszarpany. Jakże tak się pokażę?” I wyobraził sobie białe ręce Aliny.

Usiadł na pieńku, wziął z ziemi patyk i siedział. Teraz nie potrzebował się już spieszyć: wszystko skończyło się. Tutaj otrzyma adres Aliny, wsiądzie w pociąg i... Tak, wszystko skończone. Uśmiechnął się i patykiem rozdrapał na twarzy łzę.

„Moja starość – pomyślał – moja starość...” A równocześnie przyglądał się firankom w oknach leśniczówki. Były tam czerwone kwiaty w doniczkach, kot, jakaś sielska pogoda.

Drogą mężczyzna w zielonej kurtce prowadził rower. Wysoki, opalony, w przesadnie czystej koszuli zapiętej po ostatni guzik. Przechodząc koło Tomasza zdjął czapkę.

– Dzień dobry.

– Dzień dobry – odpowiedział Tomasz i wstał.

Ale mężczyzna nie zatrzymał się, a Tomasz znowu usiadł.

„To zapewne ten Soból. On wie, gdzie mieszka Alina. Ale ja mam czas.”

Zagubiony w lasach, o których istnieniu nigdy nie miał pojęcia, w chwili ostatecznego upadku – znalazł.

Postanowił gruntownie odpocząć przed tą rozmową i jakoś doprowadzić się do porządku. Wszedł do lasu, wyszukał zaciszne i suche miejsce pod świerkiem. Ściągnął marynarkę, rzucił ją na igliwie, położył na marynarce głowę i usnął. Śniła mu się Marta, jednak jakaś bardzo mglista i daleka. Potem nie śniło mu się nic. Obudził się późno, małe, gorzkie jak migdał słońce świeciło czerwonym blaskiem między drzewami. Wokół była cisza przerywana na krzykiem kukułki.

Tomasz poszukał strumienia, zdjął koszulę, umył się do pasa, prawie czarną chusteczką wyczyścił zdarte trzewiki, mokrym grzebieniem przycesał rzadkie włosy. Przeciągnął się, poklepał po piersi i poszedł do leśniczówki. W oknach płonęło już światło, na firankach

leżały nieokreślone cienie, ktoś grał na skrzypcach. Tomasz przeskoczył przez płotek i zaczął się u okna. Usłyszał: „... pojedziesz do niej i powiesz... no wiesz, co powiesz... Niech się zrównoważy...”

„Teraz wejdę” – pomyślał, wstąpił na kamienne schodki i nacisnął klamkę. Stał tak chwilę z ręką na klamce, a potem znowu wrócił na skraj lasu i usiadł na pieńku. „Więc już za chwilę? – zdumiał się. – Za chwilę ludzie, których zapytam, odpowiedzą mi: «Tak»? A może to nie tu? Może pomyliłem drogę?”

– W każdym bądź razie – postanowił głośno – nie ma co się zastanawiać!

Przeskoczył rów i zbliżył się do płotu leśniczówki. Otworzył furtkę i w tym momencie zza komina wypłynęła ogromna tarcza księżycy. Było na niej wszystko: góry, kratery, mgliste zarysy materii, które budzą w ludziach i psach lęk, tęsknotę, obezwładnienie.

Zrobiło mu się przeraźliwie zimno. W domku ktoś ciągle grał na skrzypcach. „Co to jest? Co to jest?” Był zrozpaczony.

Wcisnął ręce do kieszeni, odwrócił się i wszedł do lasu. „Więc taki jestem? Już taki do niczego? Więc koniecznie muszę się uspokoić?” Przypomniawszy sobie, jak będąc dzieckiem panicznie bał się duchów. Wchodził wówczas do ciemnego pokoju, zamykał go na klucz i zatkawszy uszy, krzyczał. Zaniepokojeni rodzice dobijali się do zamkniętego pokoju, a on krzyczał, jakby tylko w tym krzyku mógł znaleźć obronę. Nie wierzył. Nie wierzył nikomu, chciał bronić się sam. I teraz zachciało mu się zapchać rękoma uszy i krzyczeć.

To było wczoraj. Tej nocy nie spał w hotelu, gdzie zabrakło miejsc, lecz spędził noc w parku, siedząc w jakimś pustkowiu na ławce. Rano poszedł do baru mlecznego i wypił kubek gorącego mleka. Potem poczłapał do kiosku po papierosy. W budce siedziała garbata babina w czerwonym swetrze. Z zaciekawieniem spoglądała na jego brodę i cienie pod oczami:

– Czy pan nie chory?

– Nie – wyjaśnił. – Jestem po prostu zmęczony.

Rozeźlił się. Miał dość tej ponurej ciekawości ludzkiej. Wykrzyczał:

– Szukam Aliny Rotter, mojej kochanki sprzed dwudziestu lat. Zostawiłem żonę i dzieci. Jestem włóczykij i łotr! Dosyć pani?

Garbata rzeczywiście się przestraszyła. Dopiero po dłuższej chwili spytała:

– Kogo pan szuka?

– Aliny Rotter...

– Córkę leśniczego?

Wtedy przymknął oczy i zacisnął palce na pulpicie kiosku, żeby nie oszaleć. To było wczoraj.

„A teraz idę w las, to znaczy idę w przeciwną stronę. Przecież dopiero teraz idę na pewno w przeciwną stronę.” Zatrzymał się i oparł o jakieś drzewo. Objął je. „Muszę zawrócić. Tam mi dadzą adres Aliny Rotter... Szukałem przecież Aliny Rotter. Rzuciłem żonę, z którą byłem szczęśliwy, i synów, z których byłem dumny, żeby dostać adres Aliny Rotter!... Zdarłem się na szmatę, by odnaleźć Alinę Rotter. Muszę, muszę zawrócić!”

Odwrócił głowę: małe światełko leśniczówki zacierało się między srebrzystymi pniami. Oddalił się dopiero o jakieś trzysta, czterysta metrów. Musi tam wrócić.

Oderwał się od drzewa i poszedł głębiej w las.

Szedł równym, miarowym krokiem i powtarzał jak żołnierz liczący rytmicznie kroki: „Szukam Aliny Rotter... Szukam Aliny Rotter...” W głowie miał zupełną pustkę i tylko te magiczne słowa upodobniały go do człowieka. Księżyc płynął swobodnie, oblewając niespokojny nocny las swym zielonym światłem. Tomasz brodził w jakichś bagnach, płoszył jakieś wrzeszczące rozdzierająco ptaki, które w ucieczce biły go skrzydłami w twarz. Szedł dwie godziny, może dłużej. Potem zamilkł i tylko szedł, szedł, coraz szybciej i szybciej. Nie panował nad sobą: jego ruchy miały w sobie coś lunatycznego, a przecież były tylko najwykolejszą ucieczką. Ucieczką przed czym? Przed znalezieniem? Nagle załamał się i upadł. Wstał, by oprzeć się o drzewo. Kilkakrotnie uderzył w nie głową.

„Ty zakuty łbie! Ty parszywy zakuty łbie! Czy ty rozumiesz, że idziesz w przeciwną stronę? Że dopiero teraz idziesz w przeciwną stronę?”

Zaczął wołać:

– Alinaaaa! Alinaaaa!

Las jest niespokojny, ale bardzo piękny nocą. Księżyc odkrywa wszystkie jego utajone perspektywy, nadaje ostrości pagórkom, rozdziela cienie, komponuje całość mocną w wyrazie i nęcącą dla malarza. Ale malarz Tomasz Gorda z wiekiem ulega całkowitej prostracji: błąka się nocą po lesie tylko po to, by krzyczeć. By krzyczeć zupełnie jak dziecko, które bojąc się duchów zamyka się w ciemnym pokoju i zatyka uszy, ażeby przeczłuchać swój strach, swoją samotność i słabość.

Księżyc świecił tak ostro, że bijąc w zgarbione plecy Tomasza rysował wyraźnie jego cień na popękany asfalcie. Skwierczał żwir pod podszewkami, w zupełnej ciszy gwizdał tylko gdzieś daleko pociąg. Od samotnych drzew na polach szedł słaby wiatr i ziab, który

przysiadł na rękach. Tomasz podniósł kołnierz od marynarki, zapiął rozchełstaną koszulę, ręce schował do kieszeni. Wymacał kromkę chleba przezornie zachowaną z jakiegoś obiadu, wsadził ją w usta i zaczął żuć. Kwaśny sok chleba wlał w żyły trochę ciepła. W przydrożnym rowie ciurkała woda, Tomasz zszedł niżej, zdjął buty i zanurzył obolałe stopy w błocie. Poczul, jak go swędzą palce i jak pieką świeże skaleczenia. Z kępy śmieci przewaliła się na kamień ciężka żaba. Tomasz patrzył na żabę, a ona na niego – tak trwało długą, bardzo długą chwilę. Tomasz otrząsnął się, obtarł mokre nogi w chustkę, nałożył dziurawe skarpetki i mocno zasznurował buty. Ruszył dalej. Szedł wolno, licząc kroki. Zagłębił się w szpaler liściastych zagajników. Pomiędzy czarnymi sylwetkami brzoź prześwitywało zielone u dołu niebo. Przy szosie leżały rzucone w rów dwa rowery. Zatrzeszczały krzaki i wylał z nich mocny mężczyzna w białej koszuli. Idąc podciągał spodnie i coś majstrował przy pasku; na Tomasz spojrzał spode łba.

– Czego?

Tomasz przełknął ślinę.

– Czy tutaj... gdzieś... jest miasto?

– Miasto?

– Miasto. Muszę iść do miasta.

Mężczyzna wzruszył ramionami i krzyknął w głąb zagajnika:

– Wyłaż, Jadwiga. Gówniarz pyta o drogę do miasta.

– To daleko? – zapytał Tomasz i znowu spojrzał na rowery.

– Ze dwa kilometry. Więcej nie będzie. Wyłaż, Jadwiga, nie bój się gówniarza – krzyczał mężczyzna. Jeszcze raz zwrócił się do Tomasz: – A ty, bracie, nie chwytaj się za rowery. Mordę łobuzowi skuję i tyle. Nooo! – ryknął i uderzył nogą o asfalt.

– Przepraszam – powiedział Tomasz.

– Noooo – powtórzył mężczyzna i podniósł duży kamień. – Nooo!

Tomasz odwrócił się i zaczął uciekać. Biegł, co chwilę oglądając się za siebie, ale w tyle była tylko skąpana w księżycu szosa i gwizd pociągu. Tomasz biegł jednak dalej, pot zalewał mu oczy, a on biegł i biegł, i bał się zatrzymać. Minął mały żelazny mostek, potem jakieś pojedyncze domostwo, a potem znowu była równa szosa i jęklivy gwizd pociągu.

Miasto już spało. Gdy mijał wysokie bramy w grubych murach, z wnętrza dochodziło tylko ujadanie psów. Ale i ono milkło, zaledwie zszedł na jezdnię wykładaną kocimi łbami. Uliczki wąskie, pnące się w górę lub opadające w dół, i domy małe, przysadzone do ziemi. Na pustym placu, pośrodku którego czerniała wysoka pompa, gdzieś w kącie tliło się okienko. Tomasz podszedł tam i zapukał w szybę. Usłyszał okrzyk, płacz dziecka i światło nagle

zgasło. Znowu został sam w zupełnej nocy. Na szerokiej ulicy wiodącej daleko w szosę, gdy miał już odejść z tego nieżywego miasteczka, natknął się na starca drzemiącego w bramie. Starzec trzymał szczeciniastą szczękę na grubym trzonku laski.

– Przepraszam – powiedział Tomasz – gdzie tu jest hotel?

Starzec podniósł grube powieki i uśmiechnął się:

– Spać?

– Spać...

– Nie warto tam iść. Tam wszystko zajęli malarze.

– Jacy malarze?

– No, tacy artyści. Oni tu malują pompę i mnie wczoraj malowali. Nudzi im się...

– Więc wszystko zajęte?

– Zajęte. Trochę ich nawet śpi po ludziach...

Spojrzał na Tomasz.

– Zresztą takiego jak wy nie wpuszczą. Wszy macie?

– Nie mam wszy – powiedział Tomasz i dodał: – Ale mam pieniądze. Zapłacę. Dużo zapłacę.

– At! – Machnął ręką starzec, wtulił nos w szalik i zaczął równomiernie sapać. Wyglądał czerstwo i zanie. A przecież tak nieładnie postąpił z Tomaszem. Tomasz poczul, jak go drapie w gardle jakaś suchość.

– Gdzie tu jest dworzec? – powiedział. Było mu już wszystko jedno. Chciał tylko coś z sobą zrobić, coś zrobić ze swoim zmęczeniem i głodem. – Gdzie tu jest dworzec? – zapytał głośnie.

Stróż znowu rozkleił powieki.

– Nie ma.

– Jak to nie ma?

– No, nie ma, kiedy mówię. Kolej jest w powiecie, pięć kilometrów drogi. Chcecie, to idźcie.

– Niczego nie chcę – powiedział Tomasz i złapał starca za szyję. – Chcę spać!

Stróż mocnym uderzeniem pięści zrzucił rękę Tomasz z gardła.

– Mam was w dupie – powiedział groźnie. – Miałem syna w waszym wieku, powiesili go tam na rynku i też się nic nie stało.

Tomasz jeszcze na niego spojrzał i powlókł się z powrotem. Kiedy odszedł jakieś dzieś kroków, staruch zawołał:

– Idźcie do księdza!

Tomasz przystanął:

– Gdzie to jest?

– Widzicie kościół? – zawołał staruch.

– Widzę!

– To jest tam! – zawołał staruch. – Idźcie do księdza i dajcie mi święty spokój.

Tomasz przeciął rynek, zagłębił się w suchym, przeredzonym parku i przystanął przed furtką z trzema czarnymi krzyżami. Miał teraz księżyc prosto w twarz: zimna kula stała nad szczytem kościoła. Wszystko za furtką było białe, sztywne i trzeszczące: metalowe wieńce poukładane na grobach, figury szarych aniołów, pochylte krzyże i równo uklepane groby. Musiał je omijać, a czasem przeskakiwał je jednym susem, bo ścieżka gdzieś się gubiła i nikła. Nagle nogą przewrócił konewkę, która tocząc się narobiła piekielnego hałasu. Z kieszeni wyszarpnął pomiętego papierosa. „Gdzie jest ten przeklęty ksiądz?” Za kościołem ujrzał mały budynek na wysokim wzgórzu, do którego wiodła równa droga wysadzana topolami. Walił długo do drzwi, ale odpowiedziało mu przejmujące echo. Zajrzał przez boczne okienko i zdrętwiał. Szedł teraz przerażająco powoli, przerażająco powoli na zdrętwiałych nogach. Modlił się: „Boże, wyprowadź mnie stąd. Ja już nie mogę. Wyprowadź mnie stąd”. Wrócił przed kościół i usiadł na kamiennym schodku prowadzącym prawdopodobnie do zakrystii. I po chwili ujrzał zielonego człowieka w sutannie, z latarnią w ręku. Ksiądz biegł zabawnym truchcikiem, utykając na prawą nogę. Kiedy się zbliżył, Tomasz ujrzał jego długą bolesną twarz i zachłanne palce. „To dobrze, że to on – pomyślał – ale jaki nieprzyjemny.”

– Ksiądz proboszcz? – zapytał.

– Tak, to ja.

– Jestem Tomasz Gorda. Zna mnie ksiądz?

– Coś mi się obilo. Interesuję się ludźmi. Czego pan chce?

– Chcę poprosić o nocleg. Czy to możliwe?

– Możliwe – powiedział ksiądz i podniósł latarnię na wysokość ucha. – Niech pan idzie za mną.

Weszli do ciemnego domu, w którym pachniało grzybem, kapustą i myszami. W sieni wisiał obrazek Matki Boskiej Częstochowskiej oświetlony czerwonym płomieniem. Światło pełgało skwierząc i dymiąc, a twarz Maryi była ruchliwa i wielomówna. Ksiądz wciąż szedł przodem. Wstąpili na trzeszczące schody, źle ogrodzone słabą poręczą. Przez małe okienka lało się światło księżycza wylaniając z cienia jakieś figury, pistole i popróchniale sztandary. Cichym szmyrgnięciem przekłusował szeszur. Minęli cztery segmenty schodów i szli wciąż wyżej: „Dokąd my idziemy – myślał Tomasz – co to za wysoki dom?” Koszula kleiła mu się

do pleców. Koncentrował całą swoją uwagę na chudych spiczastych barkach księdza. Nagle zdecydował się i powiedział:

– Dalej nie pójdę!

Ale po chwili ruszył znowu. Szedł teraz machinalnie. Po pewnym czasie skręcili w długą, bardzo długą sień. Zapach grzybów, kapusty i myszy przybrał na intensywności, a w świetle latarni widać było ściany chropowate, pokryte liszajami wilgoci. Gdzieniedzie skrzyła się wyraźnie woda.

– Ale tu wilgoć – zachrypiał Tomasz, żeby przerwać dręczące milczenie.

Ksiądz zatrzymał się jak wryty – wyciągnął rękę i zanurzał ją w zielonym świetle lampy.

– O – powiedział – jaki mam reumatyzm! To bardzo stary budynek, wzniesiony przez jakichś zwariowanych mnichów.

– Taki wysoki? – zauważył Tomasz.

– Wysoki? – zdziwił się ksiądz i przyjrzał się dokładniej Tomaszowi. – Czy nie ma pan gorączki?

Tomasz przytknął dłoń do czoła: było chłodne, lekko zwilżone potem.

– Nie wiem – powiedział. – Niech ksiądz sam zobaczy.

Ksiądz zbliżył się i przyłożył dłoń do skroni Tomasza. Spojrzeli sobie nagle w oczy: wzrok księdza wydał się teraz Tomaszowi ostry i przenikliwy. Bolał.

– No... – Potrząsnął głową ksiądz. – Musi się pan położyć. A tu rzeczywiście jest chyba wysoko. – Podniósł latarnię i spojrzął na przebytą drogę, jakby chcąc ją sprawdzić. Tomasz popchnął go brutalnie.

– Chodźmy! – krzyknął. – Chodźmy prędzej!

– No dobrze, dobrze – uśmiechnął się ksiądz. – Idziemy.

Teraz mijali jakieś drzwi, dziesiątki drzwi z porcelanowymi tabliczkami, na których były cyfry: 56, 83, 97... Na drzwiach, prawie na wszystkich, ktoś wymalował kredą K + M + B i daty. Każde drzwi posiadały swój rok.

– To był dawniej klasztor – wyjaśnił ksiądz nie odwracając głowy. – Na Trzech Króli zawsze pisano datę na drzwiach innej celi.

– To straszne! – wybełkotał Tomasz. – Daleko jeszcze?

– O, już – odpowiedział ksiądz i wprowadził Tomasza do pustego pokoju z pochylonym sufitem, pod którym stało tylko łóżko ze słomą, goły stół i składane krzesło. Na stole tkwiła gruba gromnica z obrazkiem. Kiedy ksiądz ją zapalił, Tomasz zobaczył, że obrazek jest od góry nadpalony. Wyobrażał Matkę Boską stojącą na księżycu. A jeszcze w suficie fosforowało niewielkie okienko zagrodzone grubymi kratami.

Ksiądz stanął przy drzwiach i trzymał je jedną ręką, żeby się nie zamknęły, bo od środka nie miały klamki. Wbito w nie tylko ordynarny hak, na którym z równym powodzeniem można było powiesić marynarkę jak i własne ciało. Tomasz ściągnął marynarkę i zawiesił ją na drzwiach. Ściągnął także brudną koszulę, której się wstydził. Ale ksiądz ujął ją w dwa palce i trzymając daleko od siebie, potrząsał.

– Nie ma pan domu? – zapytał ironicznie. – Włóczył się pan? Po co pan się włóczył?

Tomasza ogarnął gniew.

– Chcę się położyć spać. A moje koszule to moja prywatna sprawa.

– Zgoda – powiedział ksiądz i podniósł latarnię z podłogi. – Idę... Spotkamy się rano.

– Nie – Tomasz spojrział na drzwi. – Dlaczego tutaj nie ma klamki?

Blady w sutannie znowu postawił latarnię na podłodze. Podeszedł do stolika i usiadł na jedynym krześle. Światło gromnicy wskoczyło mu na twarz i odsłoniło każdą zmarszczkę. Tomasz zobaczył wysokie czoło pokryte bruzdami, wielkie cienie pod oczami, złe ściągnięcie drżących warg. Ksiądz siedział i łamał trzeszczące palce. Paznokcie miał długie, dawno nie obcinane, za którymi zebrał się obfity brud.

– Przecież widzi pan, jaki jestem zwykły... Interesuję się ludźmi. Taka jest zresztą moja robota... A te drzwi pozostaną nie zamknięte. Wystarczy pchnąć.

– Ale może ktoś wejść... – powiedział Tomasz.

– Kto?

– Nie wiem kto, ale ktoś może się znaleźć. Lubię spać przy drzwiach zamkniętych i otwieranych od środka.

Ksiądz wzruszył ramionami.

– Kto tu może wejść? Tu jestem tylko ja...

– Nie wiem, kto tu może wejść – powtórzył Tomasz. – To mnie wcale nie obchodzi, kto tu zechce wejść. Ale ja naprawdę lubię spać z kluczem od środka.

– No, więc trudno – powiedział ksiądz. – Nie mam innego noclegu. Niech się pan wynosi. Tomasz spuścił z tonu. Usiadł na łóżku, popróbowował go ręką i powiedział:

– Przepraszam. Jestem bardzo zmęczony. Ma ksiądz papierosa?

Ksiądz odgarnął energicznie sutannę i z bocznej kieszeni wykruszył jakieś niedopałki.

– To wszystko.

– Dziękuję – powiedział Tomasz, wziął największy ogarek, przypalił go przy gromnicy.

Zaniósł się długim, drewnianym kaszlem. Krztusząc się jeszcze, znowu zapytał:

– Gdzie ja jestem?

– U mnie.

– Tak. Ale ja nie wiem, kto ksiądz jest?

– Nie domyślasz się? – Ksiądz przysunął gromnicę bliżej twarzy.

– Nie – powiedział Tomasz powoli. Zebrał wszystkie siły, by przypomnieć sobie, skąd zna tego człowieka. Ale na pewno go nigdy nie widział.

– No? – zapytał ksiądz nerwowo. – No?

– Nie. Nie domyślam się...

Ksiądz odsunął gromnicę i jego twarz znowu utonęła w cieniu. W kręgu jasności leżały tylko długie chciwe ręce. Powiedział:

– Musiałeś przecież do mnie przyjść. Jeszcze nie wiesz?...

– Nie wiem. Nigdy księdza nie widziałem. Staram się sobie przypomnieć, ale nic z tego nie wychodzi. Może dlatego, że jestem diabelnie zmęczony. Niech ksiądz się ze mną nie bawi w ciuciubabkę, bo nie warto. Jestem jak szmata...

– Jesteś jak szmata – cicho powtórzył człowiek w sutannie. – Dlaczego?

– Już ksiądz pytał. Odpowiedziałem, że to moje prywatne sprawy. I to są naprawdę moje prywatne sprawy.

Chciwe palce księdza objęły gromnicę.

– Nie ma prywatnych spraw, nie ma takich zupełnie swoich spraw. Ja jestem chciwy, widzisz to?

Tomasz wzruszył ramionami.

– Mam się spowiadać?

– A dlaczego by nie?

– Z tego się nie da spowiadać. Nie przekroczyłem ani jednego przykazania. Zresztą te wasze przykazania są do luzu!...

Ksiądz jakby się złamał. Zgiął się nisko nad stołem i zasyczał:

– Ty!

Tomasz uśmiechnął się. „Normalny, idiotyczny klecha – pomyślał. – Dałby się spalić za swoje bajeczki. A ja sobie gwizdzę i on nie może tego znieść. To normalny, idiotyczny klecha!” Głośno powtórzył:

– Gwizdzę na wasze przykazania. Są do luzu! A ksiądz tego nie może znieść!

Człowiek w sutannie wstał i oparł się pięściami o blat. Napiętki miał białe i ostre od napięcia.

– Nie będę się z tobą bawił w ciuciubabkę. Jesteś na to za biedny. Powiedz mi tylko, czy znasz to...? – I zaczął deklamować:

*Potem zew ronda i szumi gęstwina,
I cisza chwilę brzmi jak pusty dzwon,
A potem skrzypce (Bóg wie z jakich stron)
Budzą się, mówiąc powoli:*

Blondyna...

Tomasz chwycił się oburącz oparcia łóżka i z trudem łapał oddech. Rozszerzonymi oczami wpatrywał się w tamtego, jak wychodzi z mroku w przerażającą biel.

– To ty? – powiedział z nienawiścią. – Więc to ty?

Ksiądz uśmiechnął się, ale wargi drgały mu w jakimś skurczu i twarz miał pełną złości.

– Więc to ty? – głos Tomasza zniżył się i zszedł niemal do skowytu. – Więc to ty?

Ale ksiądz nie pozwolił mu mówić dalej. Zbliżył się do Tomasza, tak że ten czuł jego słony oddech.

– Czego szukałeś? Czego ty, durniu, szukałeś? Chciałeś wszystko odwrócić, wszystko na własną rękę, co? Ale nie udało ci się? Przyszedłeś w końcu? Przyszedłeś i teraz boisz się drzwi zamykanych od zewnątrz. Nie wstydzisz się?

– Nie – powiedział Tomasz. – Nie zgadzam się z tobą. Nigdy się z tobą nie zgodzę. Jakim prawem...?

Ksiądz wybuchnął śmiechem. Śmiał się sucho, urągliwie, jakby lkał. Podniósł pięść i pogroził Tomaszowi.

– Powinienem cię zniszczyć. Ale ty jesteś tylko głupi. Ty myślisz, że to ja byłem twoją tragedią. A twoją tragedią była własna głupota. Jesteś głupi jak osioł, nie można być bardziej głupim. To jest właśnie szczyt głupoty, co zrobiłeś.

– Chciałem być szczęśliwy.

– Ty chciałeś – powiedział ksiądz – ty chciałeś. Nie wolno chcieć, to jest jedyna sprawa, o której nie wolno za dużo myśleć. Czego ty możesz chcieć, skoro niczego nie wiesz na pewno? Jesteś tylko małym zabawnym krzykaczem. Za bardzo chcieć to znaczy bić się z mną.

– Nie jestem wariatem – krzyczał Tomasz. – Nie wmawiaj mi, że jestem wariatem!

– Nie – powiedział ksiądz – ty jesteś głupszy od osła. Swoją głupotą możesz zabijać i przewracać góry, ale mnie nie dotkniesz.

– Będę się z tobą bił – powiedział Tomasz. – Nie poddam się tak łatwo. Puszczaj mnie... puszczaj mnie natychmiast... Nie zgadzam się z tobą. Będę się z tobą bić. Ale daj mi jeszcze szansę.

– Proszę – krzyknął ksiądz i pchnął drzwi. Był bardzo zdenerwowany. Jego bledność stała się nienaturalna, a spiczasta grdyka chodziła tam i z powrotem. Oparł się o ścianę i przemijającym wzrokiem śledził ruchy Tomasza.

– Daję ci tę szansę, proszę – powtórzył. – Liczysz na zwycięstwo?

Tomasz milczał. Zanurzył ręce we włosach, potem rzucił się na łóżko. W ułożeniu jego głowy była bezradność dziecka. Ksiądz nie ruszał się z miejsca, jak wmurowany w podłogę. Gruby kopeć bił z gromnicy. Tomasz odwrócił twarz, teraz był bezbronny i słaby. Spytał:

– Mam iść?

– Idź. Chciałeś iść. Chciałeś mieć szansę...

– Dlaczego nazwałeś mnie głupim? Staralem się szukać szczęścia...

– Więc powtarzam ci... – powiedział bezbarwnym głosem ksiądz – jesteś głupszy od osła. Jesteś najgłupszy ze wszystkich stworzeń. Nie boję się ciebie. Brzydę się tobą. No idź! – dorzucił niecierpliwie.

Tomasz podkradł się chyłkiem do drzwi, zerwał z nich marynarkę, zwinął ją w kłębek i możliwie najdalej od księdza przemknął na korytarz. Szeroko rozrzuconymi rękami macając ściany, posuwał się krok po kroku, krok po kroku. Było zupełnie ciemno i cicho. Z murów kapłała woda. Tomasz szedł na ślepo, z trudem przypominając sobie przebytą drogę. Co chwila nasłuchiwał, czy ksiądz go nie ściga, ale cisza trwała nieskażona jak czysty dźwięk. Wreszcie trafił ręką na chybotałiwie oszalowanie schodów.

Zszedł schodami w dół i spojrzal w oblaną czerwienią twarz Matki Boskiej. Jej skośne oczy były tylko plamami na popękany płótnie. Kopnął drzwi i wyszedł na zewnątrz. Owionął go ostry zapach nocy: butwiejących liści, niezaschniętych kałuży, ścian. Niebo było blade, a wąskimi uliczkami toczyła się gęsta mgła. Znow usiadł na kamiennym schodku do zakrystii i pozwalał mokrym pasmom przepływać po twarzy. Pierwsi przechodnie wypełzli z domów spiesząc do pracy. Telepały się wozy z żółtymi latarniami u podwozia: ożywał targ. Blade, niewyspane kobiety jechały dokądś na rowerach. Nad miasteczkiem gwizdał ostry gwizdek fabryczki.

Było szaro i bezbrzeżnie smutno; Tomasz ciągnął obolałe nogi zabloconym chodnikiem, opierał się o latarnie świecące jeszcze słabym blaskiem, szedł dalej i dalej. Bolała go głowa, czuł dreszcze. „Mam gorączkę – pomyślał. – Wszystko to, co stało się przed chwilą, to tylko gorączka. Nigdzie nie byłem, nikt mnie nie nazwał głupim. Sam nazwałem się głupim. Wszystko to z powodu gorączki. Teraz muszę znaleźć hotel i za wszelką cenę złapać tam miejsce. Jak się położę do łóżka, zaraz będzie lepiej. Chyba na pewno nigdzie nie byłem.

gdzie nazwano mnie głupim? To straszne, co się stało. Jeszcze niczego podobnego nie przeżyłem. Po co właściwie żyłem?”

Jakiś mężczyzna poprosił o zapalki. Tomasz obklepał spodnie i marynarkę, wreszcie wydułbał rozgniecione pudełko. Zapalił i przyjrzał się tamtemu: była to czujna, napięta twarz człowieka, który wie. Wie wystarczająco dużo, by żyć. Tomasz chciał go zatrzymać, ale mężczyzna strzelił palcami w daszek cyklistówki i odszedł. Spieszył się.

„A potem... potem – pomyślał Tomasz – potem... no, potem...” Nie wiedział, co zrobi potem. Domyślał się w każdym razie, że skończy z włóczęgą. W tej chwili jego ciało domagało się odpoczynku i Tomasz zagadnął jakąś kobietę o hotel. Wskazała mu drogę.

„Wcale się nie dziwię, że nie wiem, co będzie potem. Dano mi to «przedtem» – na «teraz» nie chciałem się zgodzić, ale przegrałem – dano mi to «przedtem», więc dostanę też to swoje «potem». To jest jedyna rzecz, o której nie trzeba myśleć. Wszyscy wariaci od tego zaczęli. Trzeba przyjąć i siedzieć cicho. Ale czy to źle? Ale czy to źle, że mam swój nos? No dobrze, dobrze, ale co innego nos, a co innego życie... Więc gdybym był świnią, też musiałbym to przyjąć i siedzieć cicho? On jest chciwy, on nie lubi buntu. Ale ja się z nim nie zgadzam. Nigdy się nie zgodzę. Będę się z nim bił – nie złamię mnie. Jak się wyśpię w hotelu, to zacznę od nowa. Będę wypoczęty i w formie. Jeszcze się poprobujemy. Jeszcze sobie policzmy kości.”

Hotel był mały i brzydki. W jego sionce pachniało piwem, którym zalatywało z hotelowej restauracyjki. Portier dłużył coś w wielkich buchalteryjnych księgach, na „dzień dobry” Tomasza nie podniósł łysej głowy, ale powiedział:

– Nie ma.

– To ja wiem – odpowiedział Tomasz – ale tutaj są jacyś malarze.

– Malarze?

– Malarze.

– Malarze śpią.

– To też wiem – zdenerwował się Tomasz – i niech pan, cholera, podniesie ten swój zakuty łeb. Skąd są ci malarze?

– Z Warszawy – ziewnął portier. – Kurwa mać, jak ci ludzie nudzą! Zesrać się z nudy można. Nie ma pokoju i tyle. Mówię tysiąc razy, a ten tutaj wrzepił się i zawraca gitarę. Przestań pan zawracać gitarę.

– Ja nie zawracam gitary. Też jestem malarzem, też jestem z Warszawy. – Wyciągnął legitymację i położył portierowi pod nos. – Muszę dostać pokój.

Portier rozchylił dokument, znowu ziewnął i wreszcie podniósł oczy na Tomasza.

– Miejsce mogę panu dać. Jeden jeszcze nie przyjechał, więc jest miejsce. Ale jak przyjedzie, to potem sobie dla mnie pourywajcie głowy.

– W porządku – ucieszył się Tomasz. – Gdzie jest to miejsce?

– Numer 26. Piętro. Ale wpierw meldunek...

– To sobie pan przepis! – Tomasz dorzucił jeszcze dowód osobisty i wojskowy. – Nudzisz się pan, to się pan rozerwiesz.

Nie zwracając uwagi na protesty łysego, wbiegł na piętro. „Za chwilę będę spał, będę spał w prawdziwym łóżku. Czy istnieje większe szczęście?” Zaczął walić do swojego numeru. Walił długo, zanim za drzwiami odezwał się szelest pierzyny i rozległo się płaskanie bosych stóp po podłodze.

– Kto tam? – Tomasz usłyszał głos Czubka. Wpierw nie był pewny, ale gdy pytanie powtórzyło się kilka razy, Tomasz powiedział:

– To ja, Tomasz. Otwórz mi, Czubek.

Za drzwiami zapanowało długie milczenie.

– Czubek! Otwieraj, do cholery!

Ale za drzwiami panowało milczenie.

– Szlag cię trafił, Czubek? – wrzasnął Tomasz.

Słyszał ciężkie dyszenie tamtego, jego strach. Ale już niczego z tych rzeczy nie rozumiał, chciał przecież tylko spać. Czy ten idiota Czubek, czy ten idiota głupszy od osła, tego nie rozumie?

– Czubek!

– Słuchaj, Tomasz – doleciał go cichy szept – idź sobie stąd. Ja cię bardzo proszę... Ja cię przepraszam, Tomek, ale ty idź... bo widzisz...

– Wyrąbię drzwi – powiedział Tomasz.

– Nie rób tego – szepnął Czubek. – Ja wiem, że jej nie znalazłeś. Ja wszystko rozumiem...

Ja cię przepraszam, Tomek... Idź sobie stąd...

– Dokąd? Dokąd, cholero? Dokąd ja mam iść?

– Poszukaj jej jeszcze trochę... – szept Czubka stał się z zastrachanego kuszący. – Ona jest już blisko... Dowiadywałem się... Ona jest naprawdę blisko... Czeka na ciebie...

Tomasz zacisnął pięści.

– Wyrąbię drzwi, Czubek.

– Nie rób tego, Tomek. Ja wiem, że ona jest blisko. Poszukaj jej trochę. Tracisz ogromną szansę. Pamiętaj, Tomek?

*Potem zew ronda i szumi gęstwina,
I cisza chwilę brzmi jak pusty dzwon,
A potem skrzypce (Bóg wie z jakich stron)
Budzą się, mówiąc powoli:
Blondyna...*

Ale Tomasz już nie słuchał. W portierni zgarnął ze stołu dokumenty i bez słowa wyszedł. Padał deszcz. Chmury stały nisko nad miastem, jakby miały się za chwilę załamać. Tomasz wyszedł na szosę i wsiadł na jakiś wóz.

– Dokąd? – spytał woźnica.

– Wszystko jedno, tam gdzie pan jedzie – powiedział Tomasz i po długim milczeniu dodał: – Ja teraz zasną. Niech pan mnie tam obudzi. Tylko... na mur-beton.

– Zrobione – zgodził się woźnica, zawinął batem nad głową i stęknął: – Wio, kochane! Pan się spieszy, pan się spieszy...

Stanisław Grochowiak



Stanisław Grochowiak



INSTYTUCJA KULTURY SAMORZĄDU WOJEWÓDZTWA WIELKOPOLSKIEGO

ISBN 978-83-89296-18-4